Cena 10 zł. (9 zł. + 1 zł. na Dom Słowa Polskiego) 12 stron

KUŹNICA

Rok 2 Łódź, 24 grudnia 1 Nr 50 (68)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Biblioteka Miejska Łódź Andrzeja 14.

„Albo maszerować tą trudną, ale jedyną polską drogą, albo poprzez wahania, poprzez hamletyzowanie spaść wraz z całym Narodem w przepaść".

Józef Cyrankiewicz

TREŚĆ NUMERU:

JERZY BOREJSZA — **OBRACHUNKI NA WĘZŁOWEJ STACJI**

JAN KOTT — **ROZMOWA O METODZIE**

JULIA HARTWIG — wiersz **MEDYTACJE**

ANDRZEJ STAWAR — **TADEUSZ BOY - ŻELEŃSKI**

MELANIA KIERCZYŃSKA — **O „LUDZIACH STAMTĄD"**

TADEUSZ BOROWSKI — **BITWA POD GRUNWALDEM**

AWK **W TEATRZE KAMERALNYM**

EDWARD CSATÓ — **„POWRÓT POSŁA" W TEATRZE WOJSKA POLSKIEGO**

JAN KOTT — **„KRAKOWIACY I GÓRALE" w Teatrze Wojska Polskiego**

KANDYD — **TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK**

JAN SZCZEPAŃSKI — **O SOCJALISTYCZNYM HUMANIZMIE**

PRZEGLĄD PRASY

KORESPONDENCJE

NOTY

Z DZIEJÓW MYŚLI POLSKIEJ

Maurycy Mochnacki

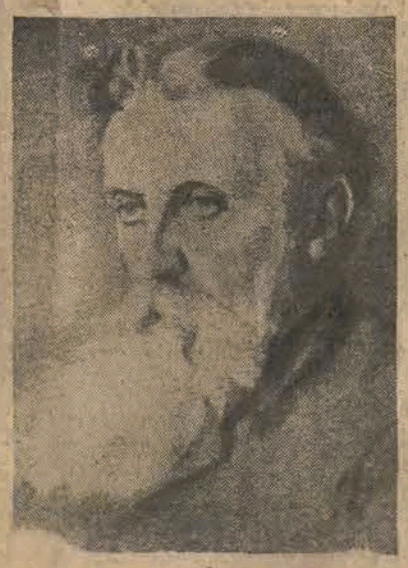

Aleksander Świętochowski

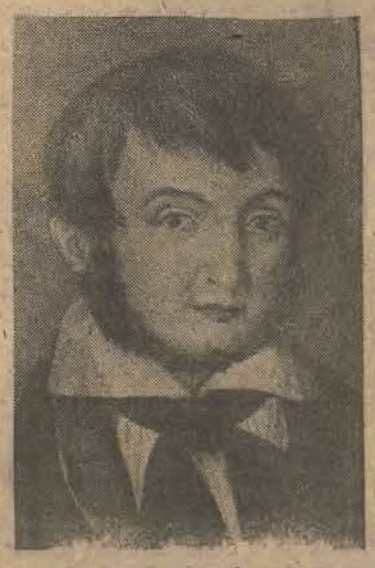

Tadeusz Boy-Żeleński

JERZY BOREJSZA

OBRACHUNKI NA WĘZŁOWEJ STACJI

(Referat inauguracyjny Wieczorów Zachodnich, wygłoszony w Instyt. Śląskim we Wrocławiu)

W NIEKTÓRYCH kołach inteligencji twórczej zaczaiły się u progu naszej nowej niepodległości dwa elementy zawadzające, przeszkadzające, hamujące rozwój, kształtowanie się pracy kulturalnej i powstawanie nowych wartości kulturalnych.

Strach i nerwowe poczucie tymczasowości. Od pierwszych spotkań nas „ludzi Lublina", z ludźmi w kraju słyszeliśmy ze strony nauczycieli i profesorów, architektów i literatów, poetów i dziennikarzy, jedno pytanie: czy tak wolno będzie badać, czy tak wolno będzie pisać, jak pisaliśmy? Jakie będą dyrektywy? Jaki narzucicie kierunek naszej pracy? Ten strach był połączony z wsączanym przez hitlerowców i niektóre koła polskie mitem 17 republiki, z plotkami o N. K. W. D., torturach, lochach podziemnych i t. d.

Dwa lata mogły zapewne przekonać pracowników kultury, że żaden nacisk nie został, nie jest i nie będzie wywierany na pracę twórców nauki i sztuki.

Wielopostaciowe, wielokierunkowe nawarstwienia form, manier, stylów prac kulturalnych rozwijają się nadal. W dziedzinie humanistyki profesorowie, wykładający na katedrach naszych uniwersytetów bez przeszkód zaszczepiają młodzieży akademickiej swoją ideologię. Ludzie materializmu dialektycznego nie mieli i nie mają zamiaru narzucać swej ideologii społeczeństwu, a nadewszystko uważają, że w tym społeczeństwie i w tym narodzie o wielowiekowej kulturze katolickiej może i musi współistnieć świat ideologii materialistycznej, obok najszerzej pojętego spirytualizmu. Strach zaczyna wygasać.

Wkraczamy i za kilka miesięcy po wyborach, twardą stopą staniemy na gruncie, na którym wszelkie nerwowe odruchy, wynikające z lęku tymczasowości nie będą miały dalszych podstaw. Tylko niepoważnie rozumujący ludzie mogą przypuszczać, że te zmiany geopolityczne, które zostały uwarunkowane konstelacją międzynarodową, jako też głębokie zmiany, strukturalne przemiany życia politycznego i gospodarczego w Polsce są tymczasowe, odwracalne, przemijające.

Nie jest moim zadaniem analiza tych przemian. Przypomnę je pokrótce. Po pierwsze: przesunięcie geograficzne ziem polskich na zachód; po wtóre: przekształcenie państwa wielonarodościowego w państwo jednonarodowe; po trzecie: przejście z gospodarki typu liberalnego w gospodarkę planową, tzw. typu polskiego, t. zn. współistnienia sektoru ekonomiki państwowej, spółdzielczej i prywatnej; po czwarte: zmiana struktury wsi poprzez dokonanie reformy rolnej i osadnictwo nowego typu na Ziemiach Zachodnich; po piąte: przejście wskutek wymienionych przemian ogólnej gospodarki kraju, z form państwa rolniczo - przemysłowego, do form państwa przemysłowo - rolniczego. To z kolei wywoła nieunikniony, nowy tym razem powolny ruch ludnościowy, migrację ze wsi do miasta, wzrost nieustanny proletariatu miejskiego kosztem ludności wiejskiej, ściślejsze powiązanie wsi z miastem i wzrost kadr technicznych w stosunku do inteligencji o wykształceniu humanistycznym.

Przemiany geopolityczne nie są tymczasowe. Elementy sytuacji międzynarodowej, które je spowodowały są trwałe i na szereg pokoleń nieodwracalne. Należy zdać sobie sprawę z tego, że druga wojna światowa zmieniła i ustaliła nowy układ sił w Europie Środkowej i na Bałkanach. Została przerwana trwająca prawie 2 stulecia polityka wygrywania krajów Europy Środkowej i Bałkańskich w grze między Moskwą, Londynem, Wiedniem i Berlinem. Ta zmiana jest uwarunkowana nietylko zwycięstwem oręża sowieckiego, ale również przewagą gospodarki nowego typu planowego, nad typem gospodarki bezplanowej, liberalnej. Jeśli wolno przeprowadzić tutaj analogie historyczne, to stwierdzić należy, że kolonizatorska polityka Wielkiej Brytanii zwyciężyła przed wiekami dlatego potęgę Hiszpanii i flotę angielską dlatego zdruzgotała flotę hiszpańską, że kolonizacja kapitalistyczna była naonczas bardziej nowoczesna, bardziej przodująca, aniżeli kolonizacja rabunkowo-feudalna konkwistradorów hiszpańskich.

Nowa orientacja polityki polskiej nie jest wymysłem lewicy polskiej, ale jest historycznie uwarunkowana głębokimi przemianami jakie zaszły na arenie międzynarodowej. Nowe formy współpracy i sojuszów państw słowiańskich, mimo dzielące je różnice gospodarcze i strukturalne, o różnych elementach gospodarki planowej, nie są również konfiguracją koniunkturalną. Jest to skutek historycznego, że tak powiem, odwetu krajów słowiańskich nad hegemonią krajów germańskich lub anglosaskich. Stąd, mimo że ludzie kontynuujący tradycyjną linię imperialną Wielkiej Brytanii będą niewątpliwie usiłowali z germańskiego współzawodnika uczynić żandarma i wasala swoich interesów w Europie, rzeczą jasną jest, że Wielka Brytania w wyniku drugiej wojny światowej jest osłabiona w stopniu, w jakim nie była jeszcze nigdy na przestrzeni całej historii nowoczesnej, Związek Radziecki zaś wyszedł z tej wojny zwycięski i silny w stopniu, w jakim nigdy Rosja w swoich dziejach nie była. Sprawia to, że granica na Odrze i Nyssie jest nie tylko węzłowym warunkiem suwerenności państwowej Polski, ale znajduje się w interesie nie tylko Moskwy, lecz również i Pragi, Belgradu i Sofii, wobec tego granice nad Odrą i Nyssą są trwałe, nieodwracalne i nieodmienne. Toteż lęk, czy poczucie tymczasowości na Ziemiach Zachodnich, wzmacniane takim czy innym przemówieniem anglosaskiego polityka, są bezpodstawne i bezprzedmiotowe. Nie będę w tym gronie szerzej omawiać tych spraw, jest tylko bocznym elementem moich wywodów udowadnianie, że mity, czy raczej pseudomity, czy ściślej mówiąc psychoza trzeciej wojny światowej i bomby atomowej, zbrojnej interwencji, wojny domowej w Polsce i wypływających stąd prób odwrócenia rozwoju wypadków w tym kraju, są oparte na niepoważnych i nierealnych przesłankach i nic wspólnego nie mają z realnym układem sił na świecie i realną drogą rozwoju wypadków. Stąd wynika niezbicie, że z okresu powojennych, neurotycznych lęków, psychoz i odruchów społeczeństwa, wyszedłszy my po wyborach w trwały, na długi okres czasu obliczony, etap pokojowej rozbudowy tego, co nazywa się nową rzeczywistością Polski.

II.

Na węzłowej stacji rozwoju historii narodu i jego państwowości, staje przed pracownikami odcinka kultury zagadnienie perspektyw jej rozwoju, dróg jej kształtowania.

Każda wielka epoka w życiu narodu rodzi nieuniknienie swój styl, swój kierunek, bądź też swój cykl kierunków kulturalnych. Okres poniepodległościowy nadziei i klęsk powstaniowych, okres upadku i depresji emigracyjnej, jako też wzniesieniowej fali ruchów rewolucyjnych w Europie na początku ubiegłego wieku zrodził romantyzm, a jak słuszniej byłoby powiedzieć — zrodził *romantyzmy* polskie. Okres po drugim powstaniu, rozwój kapitalizmu w Polsce, wpływ ówczesny ogólnoeuropejskich prądów filozoficznych i literackich zrodził pozytywizm. Odwrót myśli mieszczańskiej na przełomie wieków od pozytywizmu do irracjonalizmu filozoficznego, nawrót do neoromantyzmu, zbudzenie się nowych nadziei niepodległościowych, jako też lęk inteligencji mieszczańsko-szlacheckiej przed narastającą siłą proletariatu — szereg, jak widzimy, elementów sprzecznych — zrodził, jako wypadkową, młodą Polskę w jej różnych odmianach i przemianach. Można zatem przewidzieć z wszelkim prawdopodobieństwem, że ta Polska ruchów migracyjnych, rozwoju przemysłu, wzrostu wagi proletariatu w tym kraju, przełamania politycznej orientacji zachodniej, zrodzi nie pod żadne dyktando, nie na żaden rozkaz, ale wskutek nieuniknionych procesów kulturalnych, nowy styl, nowe formy pracy na każdym z odcinków naszego życia kulturalnego.

I tak jak publicystyka okresu romantyzmu wytyczyła, przewidziała, korygowała drogi romantyzmu, tak jak publicystyka Aleksandra Świętochowskiego i Bolesława Prusa wytyczyła drogi pozytywizmu, możemy dzisiaj przewidzieć pewne elementy,

którymi potoczy się kultura nowej epoki, naszkicować koryto, które nieuchronnie dla siebie wyżłobi.

III.

Nowe drogi kultury szukać muszą przede wszystkim swego rodowodu, swoich źródeł w dotychczasowym rozwoju historycznym, muszą rozpocząć od rewizji przeszłości. Na tym odcinku niektóre powierzchowne hipotezy zdążyły już, jeśli nie zakorzenić się, to wylęgnąć w odniesieniu do źródeł nowej kultury.

Przede wszystkim należałoby zwrócić uwagę na wciąż powtarzające się przypuszczenie, że nasza epoka ma być rzekomo negacją romantyzmu i całkowitą aprobatą pozytywizmu. Śmiem twierdzić, że jest to nader błędne przypuszczenie.

W pozytywizmie polskim były elementy, które zgóry musimy odrzucić, jako całkowicie nieodpowiadające, niezgadzające się z duchem naszych czasów. Poza wielkim wkładem postępowym, jaki niewątpliwie pozytywizm wniósł do naszego życia kulturalnego, zawarta w nim była w założeniu rezygnacja. Rezygnacja filozoficzna i ograniczenie badań naukowych, rezygnacja polityczna i rezygnacja gospodarcza. Aczkolwiek, jak słusznie twierdzi prof. Kriedl, pozytywizm polski miał charakter społeczny i praktyczny, a nie filozoficzno-badawczy, jednakowoż uwarunkował on obok ograniczenia dociekań filozoficznych oraz ideologicznych, rezygnację walki o niepodległość, czy niezależność polityczną i gospodarczą. Był on w swym założeniu, wobec sprowadzenia całości wysiłku do pracy u podstaw, czy też pracy organicznej, *rezygnacją z walki.*

Błędnie i bezpodstawnie mniemają niektórzy, że nasz stosunek do Moskwy jest kontynuacją polityki Aleksandra Wielopolskiego, z klimatu którego zrodził się pozytywizm. Nasz stosunek do Związku Radzieckiego nie ma — rzecz jasna — nic wspólnego z polityką włączenia życia polityczno - gospodarczego Polski do systemu radzieckiego. Nie zrezygnowaliśmy, a wręcz przeciwnie, stworzyliśmy realne przesłanki do wzmacniania suwerenności swego państwa, zarówno na odcinku politycznym, jak i gospodarczym. Pogłębiliśmy walkę o spełnienie postulatów niezależności politycznej, gospodarczej i kulturalnej bytu narodowego. Nie zrezygnowaliśmy i nie ograniczyliśmy pola dociekań filozoficznych i naukowych. I tej części pozytywizmu i tego nurtu w pozytywizmie ani przyjąć, ani kontynuować nie zamierzamy.

Jest uproszczeniem, prymitywizacją twierdzenie, że nasza epoka powinna być wyprana z romantyzmu, jak to się często słyszy nade wszystko w dyskusjach szczególnie młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej. Mówiłem o romantyzmach polskich. Jeżeli romantyzmem mamy nazywać nurt cierpiętnictwa, mistycyzmu, panazagłobizmu i donkichoterii, jeżeli romantyzmem mamy nazywać nieprzemyślane gesty i akty, nadwrażliwość emocjonalną, negację realizmu, — to rzecz jasna — my, ludzie nowej Polski, tak pojęty romantyzm odrzucamy i zwalczamy. Ale znamy romantyzm, który wniósł patos rewolucyjnej walki, ładunek emocjonalny wysiłków narodowych, porywanie się do tworzenia nowych wartości, romantyzm — nie *negację* realizmu, ale romantyzm — *afirmację realizmu.* Ten romantyzm, który spotkamy w najczystszej formie w porywach twórczych zarówno Mickiewicza jak i Słowackiego, tego romantyzmu nie tylko nie odrzucamy, ale jest on ożywczą krynicą, z której czerpać będziemy.

I dalej: szukając źródeł i podstaw dla pracy kulturalnej w naszej nowej rzeczywistości, przeciwstawiają niektórzy na tym odcinku orientację wschodnią — orientacji zachodniej.

Pozwolę sobie na pewną dygresję osobistą. Przypominam sobie pewną nocną rozmowę z człowiekiem, którego nam tak brak dzisiaj, z Boyem-Żeleńskim. Pewnej nocy, było to w czasie „Dni Mickiewiczowskich", spacerowaliśmy długo ulicami Lwowa. Byliśmy po kolacji z uczonymi i literatami rosyjskimi, którzy przybyli na akademię Mickiewiczowską do Lwowa, Boy długo mówił o swoim pietyźmie dla kultury francuskiej. O jej wyrafinowaniu, o technice artystycznej, doprowadzonej do zenitu rozwoju. O pewnej jednostronności, jednokierunkowości form kultury radzieckiej. I potem dodał: „a wiecie, przecież mogłem wyjechać na Zachód, przecież mogłem pojechać do Paryża, czy Londynu. Proponowali mi to, ale wrzesień, to była moja klęska osobista. Przełamało się we mnie i rozprysło moje zapatrzenie w Zachód. Nie wierzę w przyszłość Zachodu. Zrozumiałem, że Andre Gide niósł upadek Francji. Dlatego nie pojechałem." Niedawno w artykule Zygmunta Nowakowskiego, we wspomnieniach o Boyu-Żeleńskim, przeczytałem jego rozmowę z Boyem we wrześniu 1939 r., kiedy namawiał go do wyjazdu. Nowakowski twierdzi, że Boy-Żeleński nie wyjechał, bo runęła w nim wiara w Zachód.

Stawianie na odcinku kulturalnym zagadnienia na płaszczyźnie Wschód, czy Zachód, jest dziecinne i niepoważne. Kultura szlachecka i mieszczańska dla wielu przyczyn socjologicznych i historycznych była małpio i papuzio zapatrzona na Zachód. Naśladowano z pewnym większym czy mniejszym opóźnieniem to, co było modne we Francji, w Anglii, bezkrytycznie, bezapelacyjnie przyjmując wszystko za dobrą monetę. W trudnej sytuacji znalazł się Stanisław Brzozowski, kiedy na Zachodzie był modny zarówno Newman, jak Marks, jak Bergson. Chciał tę modę zagraniczną, zachodnią, połączyć w jedno, eklektycznie rzucając do jednego garnka najbardziej przeciwstawne idee. W rezultacie powstała mgła, mętniactwo, z którego Brzozowski ratował się chaosem semantycznym. Są obecnie i tacy wśród nas, którzy starają się przeszczepić na odcinku sztuki surrealizm i egzystencjonalizm, nie rozumiejąc tego, że zarówno jedno, jak i drugie, jest tylko echem przedwojennych, zamierających prądów. Są tacy w naszym kraju, którzy w obawie przed grożącą rzekomo nam hegemonią Moskwy, odwracają się plecami do wszystkiego, co na odcinku nauki czy sztuki zostało dokonane w tym kraju, aczkolwiek — o ile mi wiadomo — nauka radziecka ma wiele zdobyczy, aczkolwiek na festivalu kinowym w Cannes właśnie radziecki film „Wielki Przełom" otrzymał za swe artystyczne wartości pierwszą nagrodę, aczkolwiek sowiecki pisarz Szołochow został przedstawiony do nagrody Nobla, aczkolwiek teatr radziecki dał najlepsze przedstawienie „Hamleta", którego mu zazdroszczą teatry angielskie. Mam wrażenie, że znajdzie się coś niecoś, czego można się nauczyć od kultury radzieckiej, nie papużąc i nie małpując, ale badając i ucząc się jej bez choroby „na Moskala" — jak to nazywał Żeromski — choroby, z której — należy się jak z każdej choroby wyleczyć.

Dalej: są tacy, którzy źródeł nowej kultury naszej szukają w t. zw. rozwiązaniu środowiskowym. Rozwiązanie środowiskowe ma szereg aspektów.

Po pierwsze, kilka słów należy się tym, którzy bezustannie aż do znudzenia powtarzają „chłop potęgą jest i basta"! Mówią, piszą i reklamują naukę chłopską, kulturę chłopską, pisarzy chłopskich, tematy chłopskie, poezję wsiową, ludową, regionalną. To wszystko razem ma głębsze, istotne podłoże ideologiczne. Uważa się gdzieniegdzie, że agraryzm kulturalny jest czysto polskim produktem. Nic błędniejszego. Podobne ruchy były i w carskiej Rosji i w feudalnej Hiszpanii. Wynikają one z wczesno-kapitalistycznego, postfeudalnego przeciwstawiania burgu, miasta — wsi. Kiedy się czyta dzisiaj niektórych publicystów z tego klimatu, żywcem przypomina się eseryzm rosyjski z jego ideologią nienaruszalności miru, z jego wiarą w to, że przeciwstawność wsi i miasta jest niezmienna, trwała i nieunikniona.

Żadne państwo o współczesnej strukturze gospodarczej, żaden naród o wysokim poziomie kultury narodowej, nie zna rozpołowienia na kulturę chłopską i kulturę miejską. Jest jedna kultura narodowa. To rozpołowienie kultury polskiej na kulturę chłopską i miejską, to nowoczesne kadzichłopstwo i podmazywanie się miastowiczów pod wieś, to w prostej linii pozostałość szlachecka i próba uwiecznienia szlacheckiego podziału tego kraju. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że wieś coraz mniej czyta pisma wyłącznie dla niej przeznaczone; że wieś pragnie być zrównana w prawach z miastem i czytać pisma, książki miastowiczów. Przeobrażenia gospodarcze, które następują i następować będą w kraju migracja i zacieśnienie więzi z miastem, elektryfikacja i radiofonizacja wsi, jeszcze bardziej przyczynią się do zamazania, przekreślenia, zacierania tych różnic środowiskowych, przyczynią się do tego, że nowy ustrój Polski stworzy po raz pierwszy narodową kulturę jednolitą, obejmującą wszystkie środowiska narodowe.

Czy oznacza to, że należy upraszczać zagadnienie, że już dzisiaj nie ma języka regionalnego, chłopskiego, że nie ma tematyki chłopskiej, że nie ma mentalności inteligencji chłopskiej, że to wszystko należy mechanicznie stopić, zlać w jedno. Absolutnie nie oznacza to tego. Nie wolno, nie należy procesów kulturalnych prymityzować, sztucznie upraszczać, ale nie wolno opóźniać szkodliwą — przepraszam za słowo — reakcyjną ideologią tego, co jest postępowe i nieuniknione. Jest jedna rzecz: sprzyjać temu, aby skarbnica języka ludowego, chłopskiego, z całym swoim bogactwem weszła, wlała się i wcieliła do języka ogólno-narodowego. Jedna jest rzecz: wciąganie i podnoszenie teatru chłopskiego, sztuki użytkowej do ogólnej kultury narodowej, inna rzecz jest hamowanie tego procesu i próba uwieczniania szlacheckiego podziału na kulturę chłopską i kultury miejską. Jest to ideologia dnia wczorajszego; ludzie, którzy taką ideologię głoszą, są ludźmi dnia wczorajszego, ludźmi, którzy nie chcą, nie życzą sobie rozwoju kraju.

Walka, jaka toczy się teraz między dwoma obozami w Polsce, nie jest tylko walką o orientację zachodnią, czy wschodnią, nie jest tylko walką o gospodarkę liberalną czy gospodarkę planową, jest walką na odcinku ideologicznym. Nie należy upraszczać różnic, nie należy ich pomniejszać. One nie są koniunkturalne i przemijające; one są głębokie i istotne. To są różnice ideologiczne między ideologią dnia wczorajszego, a ideologią jutra.

Zupełnie do innego typu należą ludzie, którzy wykoncypowali sobie, że wobec tego, iż waga klasy robotniczej wzrosła, kultura ta, jej tematyka, jej zainteresowanie, jej styl, powinien być środowiskowo proletariacki. Może się wyda niektórym paradoksem, że z ust PPR-owca padną słowa, odrzucające takie środowiskowe rozwiązanie zagadnień źródła współczesnej kultury. Błędnym jest mniemanie, że my, ludzie polskiej lewicy, uprawiamy mimikrę, że zrezygnowaliśmy z różnic ideologicznych, że chwilowo udajemy łagodnego baranka demokratycznego o mętnej ideologii, ażeby w stosownej chwili wyskoczyć z nożem w ustach. Nic podobnego. Nie jest to mimikra, nie jesteśmy znachorami na odcinku przemian społecznych. Jesteśmy lekarzami, którzy posługują się metodą naukową w określaniu zjawiska politycznego, gospodarczego lub kulturalnego. Dlatego zdajemy sobie sprawę, że w w. XX hegemonem, przywódcą całego narodu jest klasa robotnicza, tak jak u schyłku XVIII w. stało się nim mieszczaństwo, tak jak przedtem szlachta była nie tylko przywódcą państwa, ale przyswoiła sobie prawa wyłączności narodowej.

Ta nowa Polska tworzy po raz pierwszy istotną, niefikcyjną kulturę narodową, która przezwyciężając feudalne, regionalne, czy też środowiskowe ograniczenia, porywa się do reprezentowania wszystkich środowisk narodowych. Dlatego przeciwstawiamy się ograniczeniu zagadnień kulturalnych jedynie i wyłącznie do potrzeb proletariatu na odcinku politycznym, gospodarczym czy kulturalnym. Dlatego zrezygnowaliśmy z wprowadzenia socjalizmu w kraju wykrwawionym, zniszczonym, zrujnowanym, bo socjalizm — to nie są ruiny i zgliszcza, ale rozwój i rozkwit. Dlatego przeciwstawiamy się i przeciwstawiać będziemy wydzieleniu czegoś, co ma być nowym prolekultem, co ma wyodrębnić proletariat od całości narodu.

Uznając i podnosząc zainteresowania, potrzeby i wielkie bohaterstwo proletariatu polskiego, włączamy jego dorobek, jego życie, jego potrzeby, do potrzeb ogólnonarodowych.

I ostatnie: zagubieni w mnogości zagadnień, wielopostaciowości naszego życia społecznego są tacy, co na każdym odcinku naszej pracy kulturalnej pragną zamrzeć w bezruchu, zwrócić się jedynie ku przeszłości i jedynie tę przeszłość zachować jako pomnik narodu. Mamy nawet takich na odcinku architektury, którzy obawiają się stworzenia nowego obrazu Warszawy, nowej epoki; chcieliby odbudować jedynie to, co było. Mamy tendencje we Wrocławiu, aby wszystko ograniczyć do rekonstytucji planów niektórych architektów niemieckich i przywrócenia tego, co było do XIX, a nawet XVIII w. Wtórują filistrzy, których nie brak i w naszej prasie, którzy motywują rzekomą tradycją, potrzebami dnia dzisiejszego, inicjatywą prywatną, czy Bóg wie czym, przeszkadzają BOS-owi w pracy. Mamy pisarzy, którzy oderwani od tego, co się dzieje w Polsce, pragną jedynie pisać i zwrócić się do tego, co było w naszej historii. Twierdzą, że chcą stworzyć pomnik narodu, że chcą stworzyć nagrobek. Nekrofilia i pomniki były w naszym kraju zawsze w modzie. Nagrobki i pomniki są koniecznymi drogowskazami rozwoju, ale jeśli kultura ma się stać jedynie pomnikiem, jedynie nagrobkiem, czy to ma oznaczać, że naród zamarł i że ten pomnik jest nad grobem całego narodu?

Oto kilka zastrzeżeń w stosunku do poszukiwaczy źródeł nowej kultury. Jeśli — jak na wstępie założyliśmy — styl naszych czasów i kultura ma pójść w parze z rzeczywistością, muszą pracownicy kultury na wszystkich odcinkach, od nauki począwszy, poprzez ludzi pióra, pracowników kina czy teatru i tych, których się często pomija, a którzy może najbardziej tworzą styl epoki — architektów i budowniczych, wczuć się w rytm naszych czasów, wejść w gąszcz tej rzeczywistości, która się tworzy na naszych oczach, tych dziejów, które się dzieją, a których nie jesteśmy nawet zdolni objąć w całości ludzkim okiem.

Czesław Truchanowski, w artykule zamieszczonym w poznańskim „Życiu Literackim", postawił tezę o zaczadzeniu naszej literatury przeżyciami okupacyjnymi i przedokupacyjnymi. Jeśli ma być dokonany przełom w naszej literaturze, w całokształcie twórczości artystycznej i na odcinku prac naukowych, musimy brutalnie, siłą, gwałtownie oderwać się od niedawnej naszej historii. Przejść chwilowo nad nią do porządku dziennego. Spojrzeć na to, co się dzieje; wejść całkowicie we współczesność. Ta nowa tematyka dla pracowników sztuki pozwoli po latach znowu spojrzeć na okrad okupacji i na okres międzywojenny, ale jakże inaczej, po męsku, bez cierpiętnictwa, bez łzawej sentymentalności, ujrzeć hierarchię ludzi, wydarzeń, bohaterstwa i panazaglobizmu. Setki, tysiące bohaterów niemniejszych i niemniej ofiarnych, niż żołnierze na wojnie, odbudowują Ziemie Zachodnie, odbudowują przemysł polski, odbudowują wieś.

Rodzi się nowa inteligencja polska — rzecz jasna — powojenna, o mniejszej kulturze, niż te kadry, które wyrastały w ciągu pokoleń. Istnieje i musi zaistnieć, jeśli nie konflikt, to starcia między tą nową inteligencją, a kadrami starych. Niezwykłe procesy zachodzą wśród młodzieży. Kłębią się konflikty wewnętrzne. Zwalczają się wśród tej młodzieży cynicznie, naturalistycznie, a równocześnie rośnie pokolenie wysentymentalizowane, fałszywie romantyczne. Istnieje pęd części młodzieży wiejskiej do miasta, a równocześnie degenerowanie w bandach tej młodzieży wiejskiej, która nie znajduje naturalnego ujścia dla swego temperamentu, dla swoich namiętności i dążeń. Tysiące dramatów, tysiące konfliktów współczesnego Polaka, ktoś musi wyzwolić, ktoś musi te konflikty przerzucić na deski sceny, na ekran filmu, na stronicę powieści, na wiersze poematów.

Czy oznacza to zamówienie społeczne, czy oznacza to dyrektywę, czy oznacza to schematyczne i mechaniczne nakazywanie z góry wolnym i niezależnym twórcom sztuki? Bynajmniej. Oznacza to jedynie stwierdzenie faktu, że taka jest perspektywa sztuki najszerzej pojętej, że taka jest jej naturalna droga rozwoju tematyczna i łącznie z tym stwierdzenie, że te przeżycia naszego społeczeństwa znajdą swój wyraz w realistycznej sztuce, związanej z wielką epoką, którą przeżywamy. Czy oznacza to ekskluzywizm jednej formy artystycznej, proklamowanie wyłączności dla takich, czy innych form poezji czy prozy, odrzucenie stalugowego malarstwa i nieplastycznej sztuki użytkowej i t. d.? Bynajmniej. Oznacza to jedynie, że niewątpliwie pracownicy sztuki, ci ze starego pokolenia, albo ci nowi, młodzi, którzy przyjdą i stworzą styl naszych czasów, styl, który zaczerpnie zapewne niejedno z wielkiej historii naszej kultury, ale również odrzuci niejedno — stworzą nowe wartości.

Nie jest naszym zadaniem normatywne, czy też prorocze określanie tego, co w wypadkowej zmagań różnych kierunków w wypadkowej da ów emocjonalny podkład

naszej epoki, co będzie jej stylem, ex-post ocenianym przez historyków. Jedno jednak należy stwierdzić. Mimo niewątpliwe osiągnięcia na tym odcinku w ciągu krótkiego okresu niepodległości, mamy raczej dopalanie się ogni, rozpalonych w okresie przedwrześniowym, aniżeli nowe, wielkie ogniska naszych czasów, rozpalone po drugiej wojnie.

Jeśli z płaszczyzny emocjonalnych elementów kultury, przejdziemy do jej składników twórczych na odcinku nauki i kształtowania nowej inteligencji, to wydawałoby się — napozór sądząc z ruchu wydawniczego, czasopiśmiennictwa, czy też na podstawie układu sił na naszych wyższych uczelniach — że nastąpiły zasadnicze zmiany, dla oka ludzkiego niedostrzegalne, w stosunku do tego, co było w okresie międzywojennym. Proporcja sił między humanizmem, a naukami przyrodniczo-matematycznymi, układa się może bardziej na niekorzyść ostatnich, aniżeli to było do 1939 roku.

Nie stawiam sprawy na płaszczyźnie zmiany układu sił między humanistyką, a naukami ścisłymi drogą pomniejszania, uszczuplania, sztucznego zepchnięcia humanizmu na plan drugi. Wydaje się raczej, że i ta humanistyka, którą posiadamy jest szczupła, w stosunku do potrzeb naszego kraju, do kadr pedagogicznych, których nam brak. Niepokojące jest raczej to, że w naszym czasopiśmiennictwie i w naszym ruchu wydawniczym, w tych zewnętrznych przejawach prac naukowych i zainteresowań, humanistyka jest często nadmiernie wybrzuszona, podczas gdy mamy postponowane, lub też zanik chwilowy prac, które wydawałoby się w tym okresie, z punktu widzenia racji stanu naszego państwa, wysuwają się na plan pierwszy.

Tak było w dziejach kultury polskiej, że po czasach saskich nastąpił z Oświeceniem rozkwit nauk przyrodniczych i matematycznych, tak było, że epigonizm romantyzmu, ze swoim mistycyzmem, został przełamany przez pozytywizm, który również przyniósł ze sobą rozkwit nauk przyrodniczych i matematycznych. Tak również i bardziej jeszcze, niż kiedykolwiek w dziejach tego narodu, nowy okres po latach ciemnoty okupacyjnej musi przynieść ze sobą, bardziej, niż kiedykolwiek w dziejach, wielki prąd badań, dociekań twórczych o wysiłki popularyzatorskie, idące w najszersze masy.

U progu 3-letniego planu gospodarczego, który ma być nie tylko pierwszym krokiem, i to bardzo poważnym, do gruntownej przebudowy typu gospodarki narodowej, stajemy wobec wyścigu rozwoju przemysłu, między naszym krajem, a naszym sąsiadem z Zachodu — Niemcami. Zagadnienie tempa, jakie uchwycimy w okresie, kiedy Niemcy jeszcze nie przystąpiły do pełnej odbudowy powojennej, to sprawa startu nowej Polski na arenie międzynarodowej. Jest rzeczą jasną, że w nowym układzie sił geopolitycznych, Polska nie może być kotliną między wciąż wzrastającą industrializacją naszego sąsiada na Wschodzie i nieuniknioną odbudową gospodarczą naszego sąsiada na Zachodzie. Rozstrzygać będą tutaj kadry inteligencji technicznej, zdolnej poprowadzić wielkie procesy przeobrażeń gospodarczych w naszym kraju. Dlatego też, aczkolwiek pierwszy okres niepodległości pozornie nie znamionuje zmiany układu sił na tym odcinku, jednakowoż, biorąc pod uwagę, że długofalowy wysiłek naszej nauki wymaga klimatu trwałości stosunków w kraju i odpowiedniej bazy technicznej badań, biorąc pod uwagę, że interes państwa, jego racja stanu, zmusi do planowania i budżetowania na tym odcinku, można z wszelkim prawdopodobieństwem stwierdzić, że przeobrażenia w tej dziedzinie nastąpią w najbliższym czasie.

Znajdzie to niewątpliwie odzwierciedlenie na odcinku kształtowania się nowej inteligencji polskiej. Każda rewolucja, każda wojna przynosi ze sobą chwilowe obniżenie ogólnego poziomu inteligencji, potrzebę masowego, że tak powiem, produkowania nowego typu inteligenta, którego poziom ogólnego wykształcenia niewątpliwie odbiega od poziomu dotychczasowego. Wobec wytrzebienia części inteligencji naszej przez Niemców, wobec tego, że część naszej inteligencji technicznej, wrogo usposobiona wobec przekształceń dokonanych w tym kraju, wolała kondotiersko zaprzedać się zagranicą, miast wrócić do kraju; wobec tego, że typ państwa przemysłowo - rolniczego wymaga znacznie większego odsetka inteligencji, aniżeli to było w państwie typu przedwojennego, to co nazywamy życiem, wysunie nieodwołalną konieczność kształcenia olbrzymich rzesz nowej inteligencji. Ta nowa inteligencja będzie się w dużej mierze rekrutować z młodzieży pochodzenia robotniczego i chłopskiego, t. zn. ze środowisk, które w dotychczasowym układzie sił Polski nie miały tych tradycji kulturalnych, jak inteligencja dziedziczna, bądź też inteligencja pochodzenia mieszczańsko - szlacheckiego. Niewątpliwie musimy sobie zdać sprawę z tego, że poziom tej nowej inteligencji zależeć będzie od harmonijnego współdziałania, przekazywania chlubnych tradycji inteligencji starszego typu. Polska, łagodna rewolucja, ani fizycznie, ani moralnie nie zaatakowała, nie wytrzebiła, ani też nie uszczupliła stanu posiadania kadr starej inteligencji. Wręcz odwrotnie, śmiem twierdzić, że rozszerzyła audytorium, rozszerzyła możliwości pracy, zasięg wpływów naszej inteligencji do rozmiarów, jakich nigdy ona nie posiadała w Polsce. Polska okresu międzywojennego tych możliwości nie dała. Nie będę tutaj analizował twierdzenia prof. A. B. Dobrowolskiego, który utrzymuje, że nauka polska okresu międzywojennego żyła raczej dorobkiem polskiej nauki z okresu zaborów. Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że przeobrażenia gospodarcze, jakie zostały ostatnio dokonane, będą zmuszały i dopingowały naszą naukę do coraz większych wysiłków.

Powstanie zatem w ciągu lat najbliższych nowa inteligencja, która wespół ze starymi kadrami tworzyć będzie zręby nowej kultury. Ta inteligencja musi szukać również i nadbudowy ideologicznej naszych czasów. Należy ubolewać nad tym, że dyskusje, jakie toczą się na łamach naszego czaso-piśmiennictwa, powierzchownością traktowania zagadnień, ucieczką przed sprawami węzłowymi, nie sprzyjają powstawaniu tej nadbudowy ideologicznej. W przeciwieństwie do pozytywizmu, nie rezygnujemy z żadnych dociekań ideologicznych, z żadnych zagadnień w dziedzinie filozofii. Wręcz odwrotnie. Uważamy, że im głębiej, gruntowniej uda nam się przeorać genezę, rozwój prądów ideologicznych w naszym kraju, tym szybciej kształtować się będzie nadbudowa ideologiczna tego, co nazywamy polską drogą przemian, polską drogą przeobrażenia struktury kraju.

Obustronne popisywanie się nieznajomością ideologii przeciwnika, jaki obserwujemy w niektórych publicznych dyskusjach między katolicyzmem, a częścią lewicy polskiej, przyczynić się do tego nie może. Na tym chciałbym zakończyć rozważania wstępne do dyskusji o przeobrażeniach kultury polskiej. Jestem szczerze wdzięczny Instytutowi Śląskiemu za to, że pozwolił mi przemówić właśnie tutaj, w ośrodku wrocławskim.

Jestem głęboko przekonany, że tak jak historyczną koniecznością, tak jak nieuniknionym procesem będzie kształtowanie się nowego typu kultury tego kraju, tak również wiele przemawia za tym, że jego kolebką będzie ośrodek wrocławski, gdzie w najczystszej formie powstaje nowy typ gospodarki polskiej, gdzie społeczeństwo zrozumiało i przełamało rozbicie w sporach z ideologią dnia wczorajszego, gdzie pracownicy kultury wyzwolili się z przestarzałych nawarstwień i pewnych filisterskich narowów innych ośrodków kulturalnych w Polsce.

Jerzy Borejsza

JAN KOTT

ROZMOWA O METODZIE

Minister Hilary Minc

Interesowałem się zawsze metodologią. Chciałem wiedzieć w jakiej mierze można świadomie kierować życiem społecznym i gospodarką, jak silny jest opór materialnej rzeczywistości, jak się go przezwycięża, co to znaczy planować? Komunikaty o pogodzie Państwowego Instytutu Meteorologicznego, to nie jest przecież planowanie. Aby planować, trzeba wiedzieć, co będzie, ale planować, to nie znaczy tylko przewidywać, planować — to przede wszystkim świadomie zmieniać rzeczywistość. A więc wiedzieć i mieć środki działania. Rzeczywistość nie jest z gumy, ale świder elektryczny przewierca nawet najtwardszy metal. Ale trzeba mieć świder i umieć się nim posługiwać. A jak się go nie ma?

Co się robi, myślałem, od czego się zaczyna, kiedy się jest ministrem przemysłu i przyjeżdża się do zburzonej Warszawy, następnego dnia po odejściu Niemców. Dostaje się pokój w jakimś napółzburzonym gmachu, może nawet trzy pokoje, ma się kilku może nawet kilkunastu urzędników, auto z niewielką ilością benzyny, źle działający telefon. To chyba wszystkie elementy działania.

— Od czego się zaczyna? — to chciałem przede wszystkim wiedzieć i o to spytałem przy pierwszej sposobności ministra Hilarego Minca.

— To proste — powiedział. — Było wtedy bardzo zimno. Wszyscy moi urzędnicy siedzieli w paltach. Kazałem im zdjąć palta. W paltach nie można pracować. Kiedy zdjęli palta, wzięli się do pracy. Tak się zaczęło.

— A potem?

— Potem zażądałem benzyny, wsiadłem w auto i pojechałem do Łodzi. Zwołałem kogo się dało, robotników, inżynierów, aktyw partyjny. Stworzyliśmy Rady Zakładowe. Maszyny były nieuszkodzone, zostało trochę po Niemcach włókna, które można było przerabiać. Jedna rzecz była pewna, że trzeba otworzyć fabryki. Poza tym nic jeszcze nie wiedzieliśmy. Ani skąd weźmiemy surowiec, ani co ludziom damy jeść. Węgla było na trzy, cztery dni. Powiedziałem, że przywiozę chleb i że będzie węgiel.

— I przyszedł chleb i węgiel?

— *Nazajutrz na jednej ciężarówce* przyjechał pierwszy transport chleba z Warszawy. Po tygodniu przybył ze Śląska pierwszy pociąg z węglem. Tak się zaczynało. Z dnia na dzień. Od transportu do transportu. Nie było wiadomo czym, jak i ile będziemy płacić robotnikom. Ale nie o to chodziło. To nie było ważne. Kiedy na pierwszym zebraniu w Łodzi któryś z robotników zawołał: „A co nam będą płacić"? Został z miejsca zakrzyczany. Chcieli go wyrzucić za drzwi. Robotnikom łódzkim szło o jedno: Otworzyć fabryki! I fabryki zostały otworzone. Po dwóch tygodniach mieliśmy już pierwszą umowę ze Związkiem Radzieckim o dostawę bawełny. Do grudnia 1945 roku dostaliśmy 19 tys. ton.

Stanął mi w oczach I Zjazd Polskiej Partii Robotniczej, rok temu, w grudniu, przemówienie min. Minca o programie gospodarczym:

„W czasie pierwszej wojny światowej premier francuski Clemenceau, którego nazwano ojcem zwycięstwa, zapytany w parlamencie o program jego rządu odpowiedział lapidarnie:

— Mój program na wewnątrz — ja prowadzę wojnę.

— Mój program na zewnątrz — ja prowadzę wojnę.

Parafrazując to powiedzenie, chcielibyśmy dzisiaj z trybuny tego zjazdu powiedzieć w imieniu was wszystkich, w imieniu całej naszej partii:

„Nasz program na wewnątrz — my wzmagamy produkcję. Nasz program na zewnątrz — my wzmagamy produkcję".

— A po Łodzi — pytałem dalej ministra

— Po Łodzi pojechałem na Śląsk. Nie było co jeść. Jeszcze gorzej niż w Łodzi. Rady Zakładowe uchwaliły wysłać ekipy po żywność w Poznańskie i Pomorskie. 28 stycznia 1945 roku wydobyto 5 pierwszych ton węgla. 2 marca rozpoczął pracę Centralny Zarząd Przemysłu Włókienniczego. W połowie marca wydobycie sięgnęło 25 tys. ton dziennie. W kwietniu powstaje pierwszy plan, plan jeszcze odcinkowy, obejmujący tylko węgiel. Tak się zaczęło planowanie. W IV kwartale 1945 roku mieliśmy już pierwszy plan centralny.

— A potem?

— Potem było już lżej. Przedtem były największe trudności. Fabryki zaczęły produkować. Ale co robić z towarami? Nie mieliśmy jeszcze żadnego aparatu zbytu i rozdziału. Wszystkiego wszystkim potrzeba, fabryki nie mają czym płacić robotnikom, za co kupować surowce, za co remontować? A to co się wyprodukuje, leży po magazynach. W pustym i głodnym kraju, pierwszy kryzys nadprodukcji.

Minc się uśmiecha, pokazuje statystyki.

Rozumie pan, jest trochę towarów i nie ma aparatu zbytu aby je rozdzielić. Wtedy postanowiliśmy: dwie ceny — sztywna i komercyjna. Część produkcji zabieramy po cenach sztywnych, a reszta idzie na wolny rynek, na zakup surowców, na remont, na wyżywienie robotników. I potem od razu zaczęło się montować aparat rozdziału. W sierpniu była Pierwsza Konferencja Przemysłowa, wprowadziliśmy premiowy system płac i rozgraniczyliśmy kompetencje Rad Zakładowych i Dyrekcji, zaczęła się walka o wzmożenie wydajności pracy. I niemal zaraz drugi wielki kryzys, tym razem transportowy. To już jeśli transportu nie mogła przejść [illegible] produkcja naszego przemysłu. Stąd te [illegible] paradoksy w naszej gospodarce. [illegible] który przekroczył przedwojenny [illegible] bycia i który poprzez wąskie gardła transportu nie mógł dotrzeć do wsi, do mieszkań, do fabryk. Zaczęła się walka o usprawnienie transportu. W ciągu trzech tygodni średni dzienny załadunek węgla wzrósł z 30 do 60 tysięcy ton. Po dwóch miesiącach wynosił już 90 tys. Transport ruszył. To było najważniejsze. Węgiel po cenach sztywnych był przecież tym wielkim kołem napędowym polskiego przemysłu. Węgiel był sprzedawany wtedy po hurtowej cenie 130 zł za tonę. Tylko dzięki temu nasz zrujnowany przemysł bez kapitału i materiałów pomocniczych mógł ruszyć z miejsca. I to nie tylko przemysł państwowy, ale i fabryki prywatne i warsztaty.

— A skąd inne surowce?

— Przede wszystkim z Rosji. W lipcu 1945 roku zawieramy nową umowę handlową ze Związkiem Radzieckim. Na dostawę bawełny, lnu, benzyny, juty, rudy żelaznej i żywności. Za węgiel, za gotowe towary włókiennicze. Potem umowa handlowa ze Szwecją. Potem... dziś mamy za sobą umowy z piętnastoma państwami.

— A Ziemie Zachodnie?

— Bez Zachodu to wszystko byłoby nie możliwe. Bylibyśmy raz jeszcze Księstwem Warszawskim. Bez przemysłu. Z ogromnym bezrobociem. Bez nadziei na podniesienie stopy życiowej. A teraz ją będziemy podnosić.

— Plan trzyletni?

— Tak trzyletni plan. Pięciolatka sytości. Chcemy, aby w roku 1949 było dość jedzenia, dość ubrania, dość bielizny, dość obuwia, dość tytoniu. Aby człowiek w Polsce żył jak człowiek.

Pamiętam XI sesję Krajowej Rady Narodowej. Uchwała w sprawie planu odbudowy gospodarczej. Przemówienie Minca:

„Plan stawia sobie za zadanie osiągnięcie w 1949 roku w produkcji rolnej na głowę ludności wskaźnika 110 w stosunku do okresu przedwojennego. Ma to dać w rezultacie konsumpcję żywnościową nieco wyższą od poziomu przedwojennego. Oznaczałoby to więc niewielkie polepszenie w stosunku do stanu przedwojennego i niemal dwukrotne podwyższenie ilości kalorii w porównaniu ze stanem obecnym. W zakresie konsumpcyjnych dóbr przemysłowych plan stawia sobie za zadanie osiągnięcie w 1949 roku wskaźnika na głowę ludności w wysokości 125. Kładąc nacisk na konsumpcję człowieka i podnosząc ją powyżej poziomu przedwojennego, zaczynamy przekształcać się z kraju rolniczego w kraj przemysłowo - rolny".

Za trzy lata będziemy wydobywać 80 milj. ton węgla rocznie, 300 parowozów, 14 tys. wagonów towarowych, elektryfikować rocznie 1000 wsi. Za trzy lata. Dwa minęły, razem pięć.

A zaczęło się wszystko od zdjęcia palt w zimnym pokoju, aby móc lepiej pracować.

JAN KOTT

JULIA HARTWIG

MEDYTACJE

Do was uśmiecha się Państwo
Wy, którzy idąc z Politechniki przez złote ogrody
nie boicie się złotej burzy jesieni
ani ruin w Alei Róż tuż przy Ujazdowskich Alejach
ani zadymionego jeszcze od wojny szpitala, gdzie na balkonach tańczą białe kikuty rannych.
Bardziej niedorzeczny jest ten mały, który przylepił sobie nasienie klonu na nosie
i maszeruje na czele tłumu krasnoludków rozpędzanych przez niezgrabnego jamnika.
Ale ci trzęsący się staruszkowie, których szlak prowadzi od garkuchni Dzielnicy
Łacińskiej w Paryżu,
aż do ocalałego cudem pokoiku na Chmielnej, niech zakryją się szalem ciepłej,
ich to spotyka nagle śmierć od ciężarowego auta
i pani w staromodnym kapeluszu patrzy w niebo wzrokiem wciąż nie gotowym do odejścia
chociaż mówili właśnie o tej strofie Musseta— ostatecznej,
którą wypisaną na nagrobku Père Lachaise
odchyla właśnie dziecko zaglądając pod gałąź wierzby.
Ale nie umie jeszcze czytać.
A kamieniarz, który rył ten napis zgrabną, choć grubą ręką
nie toczył nad nią łez.
I młodzieniec, który w zimnej czytelni zgrabiałą ręką odrzuca szeleszczącą kartkę
wierszami,
przegląda ją tylko z bibliograficznej ciekawości.
Ci, którym gardło nie zarosło starymi wzruszeniami
będą mieli głos donośny i czysty, nauczą się nowych języków.
Im pomoże mędrca szkiełko i oko i ciepłe pokoje.
Przed innymi otwierają się na asfalcie nagłe przepaście,
wpadają w nie krzykiem ochrypłym.
Tak krzyczy i rzeźniczka, którą obdarto nagle z bogatego futra.

ANDRZEJ SIAWAR

TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

(I) Czasy Młodej Polski

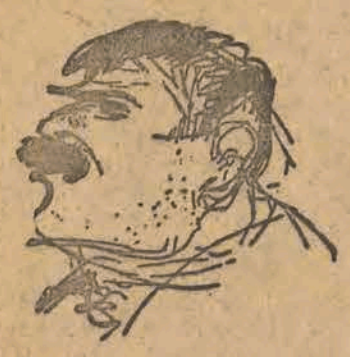

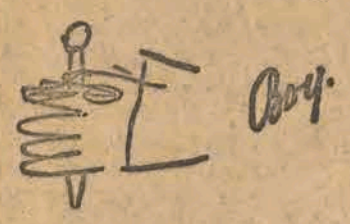

Boy (rys. K. Sichulski)

ISTNIEJE normalna kolejność w działalności pisarza: młodość — debiut nie zawsze pewny, często burzliwy — wiek dojrzały — największa intensywność działalności, potem przychodzi pewne osłabienie tempa, zbieranie owoców poprzedniej działalności — urozmaicone niekiedy walką z młodymi. U Boya — nie jedyny to wypadek w literaturze — tę kolejność trudno by odnaleźć — najburzliwszy a zarazem najintensywniejszy był ostatni okres działalności pisarza, którego debiut (z czego nie wszyscy czytelnicy zdawali sobie sprawę) — przypada jeszcze na początki „Młodej Polski". Syn wybitnego kompozytora, Władysława Żeleńskiego, od dzieciństwa stykał się ze środowiskiem artystycznym. W okresie „burzy i naporu" krakowskiej „Młodej Polski" Tadeusz Żeleński obracał się w literackiej świcie Przybyszewskiego. Ale poza wczesnych prób poetyckich [illegible] liryczne, drukowane jeszcze w r[illegible], ale poszedł drogą ówczesnej cygan[illegible] literackiej. Skończył studia medyczne, specjalizując się jako lekarz chorób dziecięcych — napisał kilka prac naukowych, drukowanych w pismach specjalnych. W tym czasie wszczął nawet kroki, by habilitować się na uniwersytecie krakowskim.

Widoki kariery naukowej przecięło zajęcie się kabaretem literackim „Zielony Balonik". Było to już po przejściu głównej fali naporu moderny literackiej. Styl młodopolski triumfował i w tym triumfie dojrzał do parodii.

Boy niejednokrotnie później z wielką sugestywnością opisywał kontrasty krakowskiej współczesności. „Pański Kraków" — podupadłe, pięćdziesięciotysięczne miasto z dalecką przeszłością i pretensjami stolicy — średniowieczne mury ciążące nad żywymi ludźmi i ich sprawami. Zastój gospodarczy, brak przemysłu, przeludnienie, bieda. Jedna z programowych książek współczesności, Stanisława Szczepanowskiego „Nędza Galicji" — ową nędzę wprowadziła wprost w przysłowie. Ożywienię wprowadzała agitacja socjalistyczna — ale słabość proletariatu przemysłowego pozostawiała socjalizm galicyjski daleko w tyle za intensywnością ruchu rewolucyjnego w sąsiedniej Kongresówce.

W tym ciężkim klimacie fizycznym i moralnym miasta — atmosfera dogasającej pańskości — wyleniałe gronostaje, stoczone przez mole karmazyny magnaterii, która z królewiąt zeszła już zresztą na przysłowiowych galicyjskich hrabiów. Polski Rzym — tak zwano wówczas Kraków — raj klerykalny, gniazdo bigoterii z Puzyną na stolcu Oleśnickich — równie lojalnym w stosunku do Wiednia jak niejprzejednanym wobec radykalizmu polskiego. Poza tym bałuczyzna ospałego, ledwie wegetującego przy zastoju ogólnym ziemiaństwa. W tej atmosferze zjawisko „Młodej Polski" z jej przerostami intelektualno-artystycznymi, tym intensywniejszymi, że był to przeważnie intelektualizm ludzi skazanych warunkami na częściową nieproduktywność — wyładowujących się w gadaniu. Na tym tle fajerwerkowe wybuchy wielkich talentów — zarówno miejscowych — Wyspiański, Tetmajer, jak i przybyszów z innych zaborów — Przybyszewski, Kasprowicz. „Coś z partykularza i coś z renesansu" jak pisał później Boy.

Z rokiem 1905 burza rewolucyjna w Królestwie wyrzuca na teren krakowski znaczną ilość emigrantów politycznych z Kongresówki. Echa przewrotów zachodzących w dawnym państwie carów uaktywniają miejscowe fermenty społeczne (wielka kampania o powszechne prawo wyborcze).

Te wszystkie, nieraz sprzeczne elementy doszły do głosu w satyrze „Zielonego Balonika". Z tej atmosfery powstały „Słówka", jedna z najbardziej czytanych książek polskich. Pisane wierszem niewymyślnym z ostentacyjnymi prozaizmami „Słówka" dają satyryczne przenicowanie młodopolskiej mody literackiej — w ostrym, brutalnym kontraście z tłem obyczajowo-środowiskowym. Groteska ma podkład realistyczny.

Tom „Słówek" zawiera zresztą utwory pisane na przestrzeni lat dziesięciu o różnym wyrazie. Od pierwszych beztroskich parodii wyróżniają się liryczne partie raczej melancholijne. Nie przypadkiem wiersze „Tryptyku" mają jako motto cytaty z Ekklezjasty. Satyra ujmuje w sposób równie drapieżny zarówno rysy obyczajowe świata mieszczańskiego „mydlarzy", jak mówiono w owych czasach, jak i ściśle, tym komiczniejsze, kontakty intelektualistów z owym światem. Stanowiąc parodystyczne zamknięcie „Młodej Polski" z jej dynamizmem, z nieujętymi fermentami, z neoromantyczną pozą, dla Boya „Słówka stanowiły raczej prolog przyszłej działalności literackiej.

Zaproszenie na wieczór Zielonego Balonika
(rys. W. Wojtkiewicz)

Sam Boy jednak nie poszedł dalej drogą satyryka — odczuwając prawdopodobnie szybkie wyczerpanie wątków. Stopniowo wciąga się coraz bardziej w tłumaczenia klasyków francuskich. Początkowo traktowana w sposób epizodyczny działalność ta przyjmuje coraz bardziej charakter programowy.

Warto podnieść momenty, które działalność tłumaczeniową Boya stawiają w opozycji wobec głównych tendencji dominujących w literaturze owego czasu.

Na rozwój Boya okres „Młodej Polski" wywarł wpływ pod wielu względami decydujący. Ale trzeba tu wprowadzić pewną korekturę. Działanie szkół i środowisk literackich bywa dwojakiego rodzaju — indywidualności słabsze podporządkowują się sugestii mistrzów, stają się uczniami. U indywidualności wybitnych, nawet gdy pozostają w kręgu zasadniczych pojęć szkoły, wchodzi z reguły w grę pierwiastek antagonizmu, pierwiastek odpychania. Wśród wybitnych pisarzy, którzy weszli do literatury w okresie „Młodej Polski", można wyróżnić jeśli nie dwa pokolenia, — bo takiej różnicy w czasie nie ma — to dwie podgeneracje przedstawiające w każdym razie odmienne warianty zasadniczego rozwoju. Po mistrzach „Młodej Polski" — Tetmajerze, Żeromskim, Wyspiańskim, Przybyszewskim, Kasprowiczu — których daty urodzenia przypadają przed rokiem 1870*) przychodzą pisarze młodsi, jak Brzozowski, Irzykowski, Nowaczyński. Wykazują oni z reguły rewizjonizm w stosunku do starszej linii młodopolskiej oraz przejawiają tendencje antyromantyczne, zresztą w różnym zakresie. Wyrażało się to w różnej postaci.

* * *

Mamy tu przede wszystkim namiętne, pełne głębokich rzutów we współczesną rzeczywistość kulturalną, acz dwuznaczne w swym przeciwstawieniu kazania krytyczne Brzozowskiego. Ściślej sformułowane rozważania Irzykowskiego w sposób kąśliwy atakowały ubożyznę intelektualną prądu neoromantycznego, zwłaszcza jego najświetniejszego przedstawiciela Wyspiańskiego. Dodać tu należy świetne skądinąd pamflety Nowaczyńskiego, zaczepiające w tonie ostentacyjnie andrusowskim romantyzm w stylu słynnego: „Gwiżdżę na waszą romantyczną trójcę".

Boy nie mieszał się do ówczesnych sporów literackich, nie ogłaszał namiętnych peror antyromantycznych. „Słówka" operowały, jako się rzekło, kontrastem sztuki i rzeczywistości „słowa i czynu", unaocznia jąc w sposób groteskowy, że nad różnicami, nad wrogością w stosunku do znienawidzonego filistra, mydlarza, czy jak tam określano mieszczanina, wybija się głębszy związek, głęboko schowane pokrewieństwo środowiskowe i łączność obyczajowa. Zasadnicza postawa antyromantyczna Boya nie ulegała wątpliwości, a przyszłość miała wykazać, iż jego opozycja, choć nie obfitująca w wypady równie jaskrawe i namiętne jak wspomnianych pisarzy, okazała się bodaj głębsza, konsekwentniejsza, miała przynieść wydatniejsze rezultaty. Przeciw romantyczna aktywność wybitnych współcześników uchodziła w jakieś boczne nurty, gmatwała się w sprzecznościach elementarnych jak u Brzozowskiego, pieniactwie na temat zagadnień drugorzędnych jak u Irzykowskiego, utknęła w sowizdrzalskich wybrykach Nowaczyńskiego, którego właśnie napady swoistego nihilizmu kulturalnego zaprowadziły do skrajnej reakcji.

Boy tymczasem pozostając na uboczu od głównych szlaków życia literackiego rozpoczyna działalność skromną, która mu pochłonęła kilkanaście lat życia. Stopień, w którym absorbowała ona pisarza wskazywałby istnienie powodów natury głębszej niż te, które skłaniają przeważnie pisarza do pracy tłumaczeniowej.

Pewne okoliczności szczególnie uwrażliwiły Tadeusza Żeleńskiego na walkę kultur z którą zetknął się w okresie dzieciństwa i wczesnej młodości w różnych fazach na terenie dwóch zaborów. To spowodowały złożone procesy wewnętrzne, przesądzające o rozwoju przyszłego pisarza.

Boy wczesne dzieciństwo spędził w Warszawie. — Opisuje pierwsze zetknięcie z kolegami szkolnymi krakowianami, którzy

Pożeracz gazet
(rys. K. Sichulski, z Liberum Veto)

wytykali mu przede wszystkim obfitość germanizmów, na które w Warszawie nie zwracano uwagi, gdy w Krakowie niemieckie wpływy językowe, nader bezpośrednie i silne, znajdowały opozycje w środowisku polskim. Ale z drugiej strony osobliwości życia krakowskiego i galicyjskiego sprzyjały uzależnianiu kulturalnemu prowincji galicyjskiej od niemczyzny w wydaniu austriackim. Typem owego uzależnienia zajmowały się „Słówka". W swoich szkicach Boy omawia niejednokrotnie przygnębiające wrażenie, jakie odnosili królewiacy, przyjezdni pisarze, emigranci polityczni, studiująca młodzież z zetknięcia się z kontrastami stosunków galicyjskich. Boy będąc krakowianinem rodowitym również prawdopodobnie kontrastów by nie uchwycił tak mocno. Przybywszy jednak jako chłopiec w wieku szkolnym do Krakowa, obracając się wśród ludzi z przywiązaniami warszawskimi, stale porównującymi stosunki w obu środowiskach, stał się szczególnie wrażliwy na te sprawy.

W Warszawie ówczesnej walka kulturalna toczyła się zresztą na dwóch płaszczyznach — nie tylko z rusyfikacyjnymi zakusami władz carskich, ale i z cudzoziemszczyzną klas uprzywilejowanych częściowo jeszcze zfrancuziałych, ignorujących kulturę krajową. W ówczesnej Warszawie nie spotykało się takiego uzależnienia kulturalnego jak w Galicji. Nie chodziło nawet o ucisk narodowy — i o wzmożony wskutek tego odpór. Warszawa w okresie największego ucisku popowstaniowego nigdy nie znajdowała się w tej sytuacji głowy pozbawionej korpusu, tak jak Kraków. Nie zatraciła mimo wszystkie przeciwności charakteru stolicy, metropolii przemysłowo-handlowej.

Silne prądy filocarskie wśród mieszczaństwa i ziemiaństwa Kongresówki, nigdy nie przybrały takich rozmiarów co nastroje filohabsburskie w Galicji — tam szerzyły się one nagminnie wśród inteligencji, miały swoją domenę wśród ludowców, ba, sięgały nawet — okazały wypadki — do kół socjalistycznych. W Kongresówce inteligencja była nastrojona antycarsko — jeśli przy tym wchodziły w grę wpływy literacko - kulturalne Rosji, to przecież były to wpływy o charakterze opozycyjnym, radykalno-rewolucyjne.

W Kongresówce w przeciwieństwie do Galicji nie było, wobec odsunięcia elementu polskiego od aparatu rządowego, tych różnorodnych kontaktów natury państwowej, które wielką rolę odgrywały w Galicji. Bliskie powiązania natury najróżnorodniejszej, mieszanie różnych elementów, wynikały choćby z tego, iż wielu urzędników, naukowców rozpoczynało kariery w Austrii. — Działalność ustawodawcza, administracja centralnych organów państwowych wytwarzała wielostronne uzależnienie. Powstawał typ inteligenta galicyjskiego, dla którego „Wiedeń" stanowił alfę i omegę kultury, wzór cywilizacyjny i wcielenie urody życia.

Te sprawy ścierania się, walki oddziaływań kulturalnych w owym czasie odgrywały większą rolę niż kiedykolwiek. W Polsce każde dziecko w wieku szkolnym zetknąć się z nimi musiało. Przyszły autor „Słówek" pozostawał od dzieciństwa pod sprzecznymi wpływami dwóch środowisk, warszawskiego i krakowskiego, co zaostrzało z natury rzeczy wrażliwość jego na te sprawy. Z biegiem czasu dochodził tu głęboki sprzeciw wobec prądów w literaturze i życiu umysłowym przeważających. Zejście się tylu różnorodnych elementów zawierało kontrasty, które oddziałały na uformowanie się oblicza literackiego Boya.

Ówczesna moderna literacko-artystyczna szła na fali prądów neoromantycznych, wiążących się ściśle z romantyzmem pierwszej połowy wieku XIX. Jeśli czasy Stanisławowskie, czasy oświecenia stanowią punkt szczytowy francuskich oddziaływań na polską umysłowość, to w dobie romantyzmu mamy największe nasilenie wpływów niemieckich. Mniej to się odnosi do samego Mickiewicza, który wychowywał się pod wpływami francuskimi i pisał przecież po francusku. Ceniąc poezję (przedromantyczną) o niemieckiej umysłowości współczesnej np. wyrażał się dość pogardliwie (co mu wytykali biografowie). Natomiast pod niemieckimi wpływami pozostawali współcześni ideologowie, estetycy, teoretycy, którzy romantyzm spopularyzowali i stworzyli współczesną nomenklaturę literacką. To zresztą doprowadziło do szeregu anarchronizmów, jeśli nie nonsensów, w naszej historii literatury, które m. in. później wykazywał Boy.

Pozytywizm kształtował się pod przeważającymi wpływami angielskimi i francuskimi. W latach siedemdziesiątych — osiemdziesiątych, tłumaczy się i wydaje Hi-

(Ciąg dalszy na str. 10)

*) Różnice uwydatniają się w zestawieniu dat urodzenia — Żeromski 1864, Przybyszewski — 1868, Kasprowicz — 1860, Wyspiański — 1869, Reymont — 1868, Boy-Żeleński — 1874, Irzykowski — 1873, Nowaczyński — 1876, Brzozowski — 1878.

MELANIA KIERCZYŃSKA

O „LUDZIACH STAMTĄD"

Maria Dąbrowska

AUTOR nie zawsze potrafi słusznie ująć i sformułować to, co stanowi rdzeń stworzonego przezeń dzieła sztuki, jednakże spotykamy się nieraz z autorską wypowiedzią, ujmującą bardzo świadomie i trafnie przynajmniej zamierzenia własne, jeśli nie osiągnięcia.

W swojej przedmowie do drugiego wydania „Ludzi Stamtąd" Dąbrowska stwierdza, że opowieści jej mają za temat życie proletariatu wiejskiego, którego istotą, jak powiada, „jak zresztą może istotą człowieka w ogóle nie jest wcale „być", a przeciwnie, wyjść ze swego „bycia", jeśli nie na drodze zmiany warunków społeczno-gospodarczych, to na drodze filozoficznej czy metafizycznej". Autorka podkreśla, że wybór środowiska jest w dziele sztuki pretekstem do wyrażenia treści estetycznej, ogólnoludzkiej.

Pozostajemy ściśle na gruncie ujęć i sformułowań autorki, kiedy stwierdzamy, że środowisko społeczne, z którego czerpała realizm „Ludzi Stamtąd" (środowisko fornali z okresu przed pierwszą wojną światową) stało się dla niej pretekstem do szukania i znajdowania **bez względu na epokę** (słowa autorki) rozwiązań dla „elementarnych spraw życia ludzkiego".

Powstał cykl opowieści, nierównych zresztą, czasami o wielkich walorach artystycznych, ale budzących nawet wtedy w niejednym czytelniku silny sprzeciw wewnętrzny, najgłębsze zastrzeżenia.

* * *

Dąbrowska jest epikiem wielkiej miary. Realia jej opowieści żyją, są bogate w szczegóły, świat, w którym płyną „dni i noce" jej bohaterów jest zawsze plastyczny, trójwymiarowy, poczucie przetaczania się życia, przepływu zdarzeń, mijania czasu ogarnia czytelnika niepodzielnie.

Słusznie polemizuje autorka z zarzutem, jakoby w „Ludziach Stamtąd" szukała wyrazu artystycznego dla wspomnień. Słusznie podkreśla, że biorąc tematy z przeszłości, można bardzo dobrze „transponować na nie wszystkie swoje najbardziej teraźniejsze przeżycia i nawet najbardziej przyszłościowe uczucia i widzenia". Istotnie, „Ludzi Stamtąd" należy ujmować nie jedynie jako obraz środowiska folwarcznego z lat 1904—1914, jaki rzekomo zapamiętała Dąbrowska z dzieciństwa, lecz jako wyraz artystyczny pewnej społeczno - filozoficznej postawy autorki z r. 1925. Że nie tylko z r. 1925, ale i z lat późniejszych, o tem świadczy fakt, że w przedmowach do dwu następnych wydań (1935 i 1945) nigdzie nie odgradza się Dąbrowska od zawartych w tej książce rozwiązań.

Każda stronica „Ludzi Stamtąd" daje świadectwo temu, że bohaterowie tych opowiadań, najmici rolni, to „ostatni spośród ludzi" (w sensie społecznego pokrzywdzenia), że znajdują się „na przerażającym dnie życia" (określenie autorki).

W obliczu tej jaskrawej krzywdy społecznej staje przed Dąbrowską pytanie, co dźwiga tych nędzarzy, czym włączają się oni do wielkiej rodziny ludzi, których myśli potrafimy odcyfrować, których sposób odczuwania i stosunek do życia umiemy wyczuć i wyrazić.

Nie to bowiem, jakie drogi prowadzą do **rzeczywistego** dźwignięcia się z „dna życia", do zasypania go jest w „Ludziach Stamtąd" problemem istotnym, lecz to, co potrafią oni wydobyć z samych siebie, by móc znaleźć w tym moralne, duchowe oparcie.

* * *

Dąbrowska sądzi, że znaleźć mogą niejedno. Np. młodzi — miłość. („Dzikie ziele", „Łucja z Pokucić"). Pisarka odpiera zarzut „rozpasanej zmysłowości", stawiany niejednokrotnie pewnym opowiadaniom tego cyklu. Ów żar zmysłowy tłomaczy tak: „pisało się to w latach już dość dojrzałych, ale w wielkiej młodości serca, tej, która zachłystuje się z zachwytu dla wszelkiego życia".

Sądzę, że Dąbrowska jest tu złą interpretatorką własnej twórczości, że źródła i funkcji owej „rozpasanej zmysłowości" należy szukać w czym innym.

W cytowanej już parokrotnie przedmowie do drugiego wydania pisze Dąbrowska: „Pokusiłam się wyrazić życie i śmierć nędzarzy, niekiedy na świadectwo niepożytej wartości życia mimo wszystko szczęśliwych, zaś kiedy indziej zmuszonych tragizm życia pić do dna. I na tym dnie odkrywających nieznane pieszczochom losu pociechy..."

Otóż, malując „nędzarzy mimo wszystko szczęśliwych" musiała autorka stworzyć dla swoich bohaterów źródło szczęścia tak obfite, żeby było przeciwwagą straszliwych warunków fornalskiego bytu. Obdarzyła ich więc miłością — żywiołem, zapamiętaniem miłosnym takiej mocy, by mogło dać zapomnienie przy wszelkich warunkach bytowania. Odnosi się to szczególnie do „Łucji z Pokucic", której nędza i sieroce opuszczenie (Łucja służy na zapuszczonym folwarku, trzymającym się „na ostatnich nogach", mąż Łucji jest na wojnie z Japonią) stanowią psychologiczną podbudowę jej kolejnych burzliwych uczuć.

Natomiast w „Dzikim zielu" nieokiełznana namiętność Marynki i Słupeckiego czyni wyraźnie wrażenie wyjaskrawienia. Ale i tu temperatura ich uczuć miłosnych udziela pewnego akcentu szczerości owej pogodzie, z jaką Marynka, idąc późnym jesiennym wieczorem ciąć kapustę na zagonku („zagonek przyznany komornicy w drodze łaski był ich całym bogactwem") odpowiada na pytanie matki: Po nocy bydziesz ciąć?

A kiej ta robić lo siebie, jak nie po nocy?

„Ostra noc późnojesienna rozpościerała swą czarną pogodę nad chałupami, a lekkie gwiazdy skrapiały ciemność".

Dąbrowska jest pisarką o bardzo dużym wyczuciu wymogów artystycznych, i to pozwala jej lepiej, niż mógłby to uczynić pisarz o mniejszych możliwościach, wybrnąć z opisu życia „szczęśliwych nędzarzy". Ale musi skrzywić perspektywę, sprzeniewierza się realizmowi, czyniąc centralnym akcentem życia młodych fornali wybujały, wyjaskrawiony erotyzm.

* * *

Najpiękniejsze z opowiadań tego cyklu to „Noc ponad światem". Ono jedno nie kończy się akcentem „pocieszenia" (to tytuł jednej z opowieści i niezmienny akcent każdej z nich).

Człowieka, dla którego „świat był zamknięty na wszystkie, wszystkie spusty" (były fornal, obecny stróż Nikodema gnije za życia wskutek nie leczonego syfilisu) wiąże znów ze światem przywiązanie do niego małego psiaka. Sprawia ono, że w opustoszonym do dna sercu odrażającego stróża jest znowu pełno „szczęścia, rozmyślań, zachwytu nad światem".

Pies ginie wskutek przypadku. Nikodem rzuca wieś, idzie w świat, nie biorąc nic prócz kija i starych butów, i niemożliwe do zniesienia nasilenie jego bólu i rozpaczy wyrywa się w powtarzanych raz po raz słowach:

— Jo tyz jezde człowiekiem — wisz?

Czytelnik jest urzeczony zniewalającym *pięknem tej noweli. Ale zachwyt nie jest tu* bynajmniej jedyną reakcją. Coraz mocniej dochodzi do głosu jakiś wewnętrzny sprzeciw, którego natury nie uświadamiamy sobie w pierwszej chwili. Trzeba pewnej analizy, by się w nim zorientować.

Oto jego źródło:

W każdym społecznie czującym człowieku realia tej opowieści muszą budzić ostry społeczny protest. Tego ex-fornala, zepchnięcia tego na samo dno odrażającej nieludzkiej egzystencji, fornala, którego bezskutecznie, „gdy już zaczął być do ludzi niepodobny, wysłali na koszt dworu do szpitala" **nie możemy i nie chcemy** ujmować, jak to czyni autorka w pozaczasowych kategoriach „elementarnych spraw życia ludzkiego".

Nie wolno, aby tacy fornale istnieli na świecie. Dlatego też, chociaż artyzm autorki pozwala jej sugerować nam „ile szczęścia, rozmyślania, zachwytu nad światem przeżywali (podczas nocnego stróżowania Nikodem i jego pies Lord) w tę porę, która dla innych jest czarną nocą, lecz dla nich była dziedziną blasku i pieśni", — otrząsamy się z sugestii jej wizji.

Nie chcemy, po tysiąckroć nie chcemy wobec odrażającej ludzkiej niedoli i nędzy, która jest złem społecznym, a więc **możliwym do usunięcia na drodze walki społecznej** zająć żadnego stanowiska „ogólnoludzkiego" nie uznajemy prób przezwyciężania nędzy ludzkiej na drodze filozoficznej czy metafizycznej. Dąbrowska każe nędzarzom odkrywać na ich życiowym dnie „nieznane pieszczochom losu pociechy", odnajdywać więź, łączącą w jedno ludzi i świat" (p. przedmowę do II wyd.). Czujemy fałsz, nicość i odrażającą szpetotę tego rodzaju więzi. Zdajemy sobie sprawę z tego, że pisarz, który nędzarskie „bycie" przezwyciężyć chce na drodze metafizycznej, nie służy sprawie postępu. Włączać je tak czy inaczej (w danym opowiadaniu poprzez dziedzinę pełnych wartości wzruszeń, jakie przywiązanie psa budzi w Nikodemie) do nacechowanego „niepożytą wartością" życia, znaczy przyzwalać na takie „bycie", znaczy znaleźć dla niego miejsce, w którym można je zostawić w spokoju.

Stąd ów mocny sprzeciw wewnętrzny, jaki budzi w nas ta nowela.

* * *

„Cokolwiek jednak dałoby się o tej książce złego albo dobrego powiedzieć, jedno zdaje mi się być pewne — jej postaci żyją" pisze Dąbrowska w dwadzieścia lat po ukazaniu się „Ludzi stamtąd". I nie myli się. Środkami swojego artyzmu, któremi tak doskonale włada, stworzyła Dąbrowska w postaci owczarza Wityka („Pocieszenie") świetny obraz najgłębszego zespolenia się człowieka z wykonywaną przez niego pracą, pomimo, że z tej pracy rodzi się nie radość, nie satysfakcja, ani nawet możność jakiego takiego życia, tylko tępe, beznadziejne zmęczenie. Po ukończonej strzyży owiec chory na serce, zmordowany Wityk „spojrzał bez radości na stosy worów wypchanych wełną. Powiedział z bezmyślnym zmęczeniem:

— Tyla umordowania i co chto z tego bydzie mioł.

„I czuł, że mogłoby co z tego dobre być, lecz nim się dojdzie jak, świat ten zaginie może".

Śmierć mizernego owczarza, który padł martwy jakiegoś upalnego południa na pastwisku przy owcach, i rozpacz Wityczki, nie chcącej uwierzyć w to, że chłop umarł, „choć już się zaduch koło trupa robił" kończy ponury obraz niewłasnowolnej bezmyślnej mordęgi Wityka za życia.

Jakże więc dać i tu świadectwo „niepożytej wartości życia", zgodnie z naczelną intencją autorki? Dąbrowska — z dużym taktem artystycznym — zostawiła w spokoju zmordowanego owczarza. Po świadectwo „niepożytej wartości życia" sięgnęła do żebraka spod kościoła, który, po pogrzebie Wityka,„ gdy wszyscy się już rozeszli... zabrawszy się ze swym kijkiem, też dokądś ruszył". Żebrak idzie przed siebie, śpiewa pobożne pieśni, odmawia modlitwy, aż usiadł w rowie pod gruszami. Siedząc w pachnącym zielu, mówił do siebie: Jak tyż to urosło wszędzie. Jak to urosło. Jaka ta zimia tutek tłusta. „I z wesołym uznaniem pochwalił całą duszą to bujne życie".

— Piękne lato — rzekł głośno — dzięka Bogu żeśma doczekali. Dzięka Bogu, Dzięka Bogu".

Co to jest? Trick?

W jakim stosunku pozostaje wegetatywna uciecha z życia starego żebraka do śmierci zamordowanego złą harówką Wityka? Czy doprawdy ta uciecha daje czemukolwiek świadectwo? Czy tamto życie i tamtą śmierć czymkolwiek rekompensuje? Przecież bezmyślnie ciężkie życie Wityka toczyło się też „tutek", gdzie ziemia „taka tłusta". Czy to, „żeśma doczekali" wystarcza, bez względu na to, kim jesteśmy, czy twórczo pracującym na ziemi człowiekiem, czy nikomu na nic niepotrzebnym dziadem — żebrakiem? Czy wystarcza to, że ziemia rodzi ,i że z naszych ust jeszcze wydobywa się tchnienie?

Rysa w tym opowiadaniu widoczna jest gołym okiem. Do pięknej opowieści o Wityku, co się przy pańskich owcach na śmierć zaharował, doczepione zostało obce mu organicznie zakończenie, zrodzone z wstecznej tendencji autorki, tendencji przezwyciężania na drodze metafizycznej — ludzkiej nędzy i poniewierki.

* * *

Mówiąc o epice, podkreśla się jej przedmiotowość, mówimy, że w utworze epickim autor pozwala życiu toczyć się niejako przed naszemi oczami, nie ingerując w wypadki. Takie ujęcie jest bezwzględnie słuszne, nie należy tylko sądzić, że w epice nie ma miejsca dla momentu subjektywnego. Przeciwnie: w utworze epickim toczy się przed nami życie, rozgrywają się wypadki — tak jak je ujmuje i widzi autor. Mamy w epice dialektyczną jedność przedmiotowego bytu i podmiotowego doboru, grupowania, aranżowania wydarzeń. Podmiot epicki, epickie „ja" opowiadające, jest źródłem całkującego spojrzenia na ów korowód zdarzeń.

Powstaje pytanie: kim jest w „Ludziach Stamtąd" epickie „ja", które maluje nam egzystencję fornali dworskich.

W opowieściach o „Ludziach Stamtąd" przesuwają się przed nami prace, otaczane przez autorkę aurą spraw ogólnie ważnych i doniosłych, jak żniwa, jak pracuje i strzyża owiec, oraz cały szereg pomniejszych, codziennych zabiegów gospodarskich. Otóż dwór, choć tylko marginesowo ukazany, występuje jako mózg tych spraw, stoi na straży wszystkiego, co dokonywa się dla ich dobra, przyczem nic nie zdradza tego faktu, że idzie tu właśnie o materialne dobro dworu. Powstaje raczej wrażenie niejako bezinteresownego czuwania nad bezosobistym dobrem. „Pan" z „Ludzi Stamtąd" — to jakby odbitka Bogumiła z „Nocy i dni". Odnajdujemy ten sam timbre głosu, nacechowany powściągliwą sympatią, jakim Dąbrowska mówi w tamtej powieści o Bogumile.

Uwidaczniając nić, jaka łączy pracę fornali z organizującą rolą dworu, autorka nie ujawnia niczem nici, jakie łączą nędzę fornali ze stopą życiową dworu.

I jakkolwiek dwór zjawia się w tych opowieściach marginesowo, można powiedzieć w pewnym sensie, że jest w nich wszechobecny, gdyż na postawione uprzednio pytanie: skąd biegnie spojrzenie, które widzi i kształtuje fornali i ich los tak, a nie inaczej, musimy odpowiedzieć — ze dworu.

W społeczeństwie klasowym wszelka twórczość ideologiczna jest **kierunkowym** (określonym przez stanowisko klasowe) odbiciem rzeczywistości, odbiciem, którego kierunek wyraża się już w samym wyborze tych czy innych stron rzeczywistości, jej rysów, powiązań ich itd.

Uwzględnione przez pisarza spośród nieskończonego mnóstwa te a nie inne cechy, rysy, powiązania, określone są przez jego zamierzenie twórcze, **w ostatecznej instancji** uwarunkowane są jego stanowiskiem w walce klas.

Przecież właśnie w okresie, który obejmuje cykl opowieści Dąbrowskiej, miał miejsce rok 1905.

„Kły jedna z drugą do kozoków suszy, a roboty nie patrzy!" Ten okrzyk mleczarza Djonizego do folwarcznych dziewek, to na dwustu z górą stronicach tego tomu **jedyny** ślad, że we dworze rusocińskim, czy w którymś z pobliskich dworów znajdowali się kozacy, wezwani, jak to z reguły miało miejsce w roku 1905 i następnych, przez ziemian przeciwko burzącym się fornalom.

Dąbrowska wyeliminowała z opisywanej przez siebie rzeczywistości rysy klasowego myślenia i odczuwania, społecznego buntu i walki najmitów rolnych, rysy wrogiego stosunku dworu i czworaków.

Wyeliminowała nie dlatego, żeby tych rysów w opisywanej przez siebie rzeczywistości nie dostrzegała (istotne stosunki nie były obce autorce „Rozdroża"), ale dlatego, że fornal taki, jakiego przekazała nam historia tego okresu, nie nadawał się dla celów artystyczno - ideologicznych pisarki. **O tyle, o ile to było dla jej wizji świata potrzebne** zastąpiła Dąbrowska rzeczywistych fornali owego okresu pozaczasowymi ludźmi upośledzonymi i cierpiącymi.

A sens społeczny takiej wizji?

Ten, że omijając całkowicie problem wydobycia się z dna na drodze walki społecznej, sugeruje autorka możność i piękno duchowego podźwignięcia się w ramach owego „dna".

W niezmiernie charakterystycznej pod tym względem opowieści „Tryumf Djonizego" ex-rataj, garbaty po przebytej, niewiadomej chorobie mleczarz Djonizy, tak pociesza wyrostka — wykolejeńca:

— Ty głupi nie płacz. Gdziebyś nie upad, żeby nie wiem i w jaki dół, zawdy ta jeszcze bydom gorsze utrapione, jak ty. Ja ci powiadam, co się ino nie dzieje nogorszego, zawsze przyjdzie do ciebie taki, co go trza w płaczu pocieszyć.

...wszystko utracić możesz, a jeszcze dość cie ostanie, bo we wszystkim jest twoje życie...

Musimy tu wierzyć autorce na słowo, bo środkami artystycznemi przekonać nas nie zdołała, że istotnie duch Djonizego odniósł taki tryumf nad niedolą jego skoszlawionego życia.

Ocieramy się tu bezpośrednio o poruszaną w naszej literaturze krytycznej tylokrotnie, a często bałamutnie, sprawę jedności treści i formy. Zamierzenie twórcze, oparte o niesłuszne przesłanki, powoduje z konieczności, nawet u wielkiego i doskonale operującego środkami swojej sztuki artysty, pęknięcia i skazy („Pocieszenie") przerosty („Dzikie ziele", „Łucja z Pokucic") prozaizmy (nieprzetwarzane w wizję artystyczną rozważania Djonizego). Dlatego analiza ideologiczna musi być również analizą walorów i niedociągnięć artystycznych, gdyż te ostatnie powstają właśnie w wyniku nacierania realiów utworu do nie dającej się obronić wizji świata.

Dąbrowska w swoich opowieściach potęguje wielokrotnie nędzę społeczną przez nędzę biologiczną (gnijący za życia stróż, garbaty po przebytej chorobie mleczarz, dotknięty „musem" picia stangret Paterka) owo biologiczne upośledzenie zrodziło się również w wyniku społecznych warunków. (Nikodem nie gniłby, gdyby go wcześniej leczono, garb Djonizego powstał w chorobie nabytej w fornalskich czworakach). Jednakże ludziom, wyrzuconym do pewnego stopnia poza nawias gromady, można z większą dozą prawdopodobieństwa, a więc w warunkach artystycznych bardziej przekonywujących, zasugerować, że znajdowali na owym dnie filozoficzne „pocieszenie".

* * *

Trzeba zastrzec się: jeśli mówimy o pisarzu, że stoi na pozycjach danej klasy czy warstwy społecznej, nie znaczy to bynajmniej ani że sam do niej koniecznie należy, ani nawet, że jest jej świadomym i jawnym apologetą. Znaczy to jedynie, że pisarz znajduje takie rozwiązanie wysuwanych przez życie zagadnień, jakie **obiektywnie** odpowiadają interesom danej klasy czy warstwy.

Stanowisko zajęte przez Dąbrowską odpowiada obiektywnie interesom tych, którzy z ustroju społecznego, warunkującego „dno życia" w czworakach czerpali własne bogate możliwości życiowe.

Ten właśnie — i tylko ten — sens ma stwierdzenie, że w „Ludziach Stamtąd" Dąbrowska — pisarka, która tak gorąco czuje krzywdę — stoi na pozycjach ziemiaństwa.

Jaka jest aktualność tej książki w chwili obecnej?

Nie ma folwarków obszarniczych, nie ma fornali harujących na dziedzica. Rzeczywistość nasza przeobraża się z każdym dniem, a kierunek tych przeobrażeń daje gwarancję, że owo „dno życia" nie powróci. Ale o taki właśnie kierunek przeobrażeń toczy się dzisiaj zacięta walka.

Książka Dąbrowskiej należy do tych, których oddziaływania nie da się jednoznacznie określić.

Ci, którzy pragną dziś „zatrzymać strumień w biegu", ci zapiszą na dobro swojej pozycji tendencję Dąbrowskiej zwekslowania na tory metafizyczne sprawy podźwignięcia człowieka z niedoli.

Do tych natomiast, którzy z wiarą w przyszłość budują dziś w Polsce nowe życie, do tych przemówi Dąbrowska potężnym obrazem gorąco odczutej niedoli społecznej, wczorajszego „dna życia", nad zasypaniem którego pracujemy.

Trzeba tylko, abyśmy, poddając się urokowi piękna, zawartego w tej książce, byli świadomi znaczenia i funkcji sugerowanych przez autorkę rozwiązań, świadomi skrzywień i luk, powstałych w kreślonych przez nią obrazach.

Melania Kierczyńska

TADEUSZ BOROWSKI

BITWA POD

ZACIĄGNĄŁ się do wojska, jak tylko Niemcy odeszli. To było, nawiasem, w Siedlcach Napisałam mu list na pocztę polową i uciekłam. To bardzo łatwo, ach, jak łatwo!

— Nie czekając na odpowiedź? — zdumiałem się.

Zaczerwieniła się jak brzoskwinia i przygryzła wargi.

— Bałam się, że napisze... — Urwała. — On był jak endek. A ja... naprawdę już nie mogłam! Nie chciałam! Wolałam, żeby mnie nazywano chaimką, żeby się ode mnie Polacy odsuwali!

Paru mężczyzn przebiegło, potrącając nas, i zniknęło za zakrętem korytarza. Gdzieś z podwórza dobiegały podniecone okrzyki.

Ująłem ją za rękę. Była ciepła i miękka jak sierść kota. Dym z okien wsiąkał w korytarz i kładł się na suficie wąskimi pasmami jak pajęczyna.

— Dobrze to rozumiem — odrzekłem zdawkowo, z trudem opanowawszy drżenie szczęk. — Jest pani bardzo odważna. Odwaga — strachu. Chciałbym być także takim. — I wypaliłem jednym tchem — Nie poszłaby pani na spacer, ale tak — poza obręb obozu? Tam podobno sosny ociekają zapachem lata, a ja jeszcze nigdzie nie byłem. Zbiesiłbym się chyba z tramwaju za [illegible] i pieszo poszedłbym, na zachód czy na wschód. Żal mi zostawiać książki, które uzbierałem. Ale z panią — ścisnąłem ją poufale za rękę — nie zaszedłbym daleko. Bezpiecznie.

Zastukałem żywiej butami i podciągnąłem jedną ręką spodnie. Suche, ostre sukno parzyło jak pokrzywa. Na korytarzach dźwięczały już kotły. Zbliżał się czas obiadu. Żołądek ćmił jak bolący ząb. Z dziedzińca wiało krzykiem. Znów przebiegli po korytarzu ludzie i wpadli w drzwi wyjściowe Coś tam musiało się dziać.

— Jutro odjeżdżamy dalej — rzekła dziewczyna, oswobadzając rękę. — Kto wie, dokąd? Dzień w jednym obozie, dzień w drugim.. Stale nowi ludzie, obcy. Mam wstręt do tego! — I nagle rzekła prawie szeptem: — Panicznie się boję, że pojadę do Palestyny. Co ja mam wspólnego z Żydami? Być samotnie, prywatnie Żydówką — —tak! Ale żyć w żydowskiej wsi, doić krowy, macać żydowskie kurczęta, wyjść za mąż za Żyda? Nie, nie! — krzyknęła, jakbym namawiał ją do tego. — Może ucieknę na studia. Ale tak czy owak nie spotkamy się nigdy. Nie — potwierdziła stanowczo swoje myśli — nie spotkamy się nigdy. A szkoda. Może mogłabym się zakochać w panu? — Uśmiechnęła się, ubawiona wyrazem moich oczu. — Bo pan umie słuchać Tak jak Romek. To ten z Siedlec — wyjaśniła krótko.

Przygarnąłem ją za łokieć i brutalnie obróciłem ku sobie. Prawie dotykała mnie zbyt wydatnymi piersiami. Fala krwi przepłynęła przez moje ciało.

— Nie spotkamy się nigdy! — droczyła się ze mną, a kąciki jej ust drgały— ale — zawiesiła głos — to tym lepiej.

A kiedy puściłem ją zniechęcony, wsunęła mi się pod ramię.

— Kiedy pan chce iść na ten — spacer?

— Po obiedzie, dobrze? — zaszeptałem z przejęciem. — Będzie łatwiej przy zmianie warty Pójdziemy.

Znów paru mężczyzn przebiegło korytarzem. Ostatni odwrócił się, machnął ku nam zachęcająco i krzyknął zadyszany:

— —Chodźcie, zobaczcie! Akcja pacyfikacyjna! Wojsko z karabinami! Rewolucja! I zatupotał po schodach.

Dziewczyna, nie odpowiedziawszy mi, rzuciła się do drzwi. Pognałem za nią. Zbiegliśmy na dwór. W drzwiach kołysał się tłum. Środkiem placu cofała się fala ludzi, rozpływając się z szumem na boki przed sunącymi powoli jak łodzie jeepami, w których stali żołnierze, Amerykanie, potrząsając groźnie karabinami. Naraz z pierwszego auta buchnął strzał. Tłum zatrzepotał jak stado spłoszonych kaczek, odpowiedział wrogim okrzykiem i zamilkł, zbiegając z bulgotem w kurnik koszar. Natychmiast wszystkie okna zapełniły się rozgdakanymi głowami ludzkimi. Z drzwi komendantury wypadł Major. Na widok żołnierzy stanął jak wryty, a potem cicho wycofał się pod schodki, na których dostojnie zajaskrawiła się postać Arcybiskupa.

Dziewczyna drżała całym ciałem. Przyciągnąłem ją do siebie. Zbyt wydatny biust ugiął się miękko pod palcami. Przytuliła się ufnie.

— Bydło — rzuciła przez zęby — ach, co za bydło! Ileżbym dała, żeby stąd uciec! Uciekajmy — nakryła dłońmi moje dłonie. Pusty żołądek uwierał mnie jak ciasny, piekący but.

— To przez tych kucharzy, — informował ktoś przed nami — to oni nasłali Amerykanów. Zhardzieli przy kotle! Radia nie chcieli w południe na Londyn nastawić. Hałas im ludzie pod oknami robią! A szczególnie taki jeden, co w pierwszej kuchni gotuje, kucharzem robił w Allachu, miskę kartofli wyrzucił na ludzi. Chłopaki zbuntowali się. Tylko to powinno być bez krzyku. Złapać raz, dwa, kark ukręcić cholerze Antychrystowi i kwita. Ale z polskim narodem czy można — I zadumał się posępnie.

— Już im dobrze dali — pocieszył inny — przez tydzień nie pozbierają się. Żywi to oni nie przyjdą z obozu, ja wam mówię!

Wszystkie szyby na parterze były sumiennie wytłuczone. W przyprószonym cieniem wnętrzu pokojów krzątali się na gruzach sprzętów ludzie, ratując co się da. Od hełmów żołnierzy, którzy pilnowali głównego wejścia na parter, odpryskiwało słońce i raziło w oczy. Czekali, niezdecydowani, podczas gdy samochody zawróciły ku bramie.

Wtem z drwi przeciwległego skrzydła koszar wysunęła się zbita grupa ludzi, i szamocąc się jak sfora psów, ruszyła przez pusty plac wprost do komendantury. Z pochylonym łbem jak bodący byk, szedł przodem Chorąży. Stefan deptał mu po piętach. Trzymał przez pół dziewczynę, która mu się wyrywała z piskiem. Inny dopadł z boku, złapał ją za kark, potarmosił, uspokoił. Reszta poskoczyła i otoczyła ich i olbrzymiego Kolkę, górującego głową nad wszystkimi, który poganiał kopniakami człowieka w białym fartuchu, wykręcając mu do tyłu rękę. Żołnierze poskoczyli im naprzeciw.

Przycisnąłem swoją dziewczynę, aż krzyknęła. Przechyliłem jej twarz do pocałunku, ale wyrwała się gniewna.

— To cóż, po obiedzie — rzekłem z rezygnacją, i rozepchnąwszy tłum, wypadłem na plac. — To koledzy! — krzyknąłem jej z daleka. Wspięła się na palce i podniosła dłoń do twarzy, trochę ze zdziwieniem, a trochę jak z peronu. Dopadłem chłopców na chwilę przed tem, zanim otoczyli nas żołnierze.

— Ej, Tadziu — zagrzmiał roześmiany Kolka — złodzieja mamy! Cały wór mięsa nakryliśmy w kuchni! A na sztubie pana kucharza Niemkę w łóżku! Nie zdążył jej wyprowadzić. Prędzej, bydlę!

I pchnął kolanem pędzonego kucharza. Kucharz, widząc żołnierzy, wrzasnął z bólu. Żołnierz podbiegł do Kolki, zabulgotał gardłowo i zmierzył się kolbą. Ale nie uderzył.

Na schodkach przed komendanturą, między Pułkownikiem a Majorem, stał Arcybiskup i patrzył na nas łagodnym i zmęczonym wzrokiem. Poruszył wargami jakby się modlił, ale Stefanowi wydało się, że pyta.

— Bo kradł, proszę Księdza, jedzenie dla Niemki kolegom kradł! Kradł i cudzołożył! — krzyknął i błyskając gniewnie podbitym, przekrwionym okiem popchnął na schody dziewczynę, aż upadła na kolana. — I radia nam słuchać nie dają! Waszego radia, — dodał buntowniczo.—Nie z Warszawy, z Londynu!

III

Pokój redaktorów był przytulnie obity tapetą w liryczne kwiatki Po prawowiernych mieszkańcach, oficerach SS, którzy albo padli na polu chwały w bitwie przy koszarach, albo uciekli do rodziny, albo zajęli opróżnione przez nas miejsca w Dachau, została tylko solidna, dwudrzwiowa szafa, cudem nie całkiem rozbita przez auslenderów, którzy ledwo wyzwoleni z obozu, wpadli po skończonej wojnie w bezpańskie koszary, wytłukli wszystkie szyby, żyrandole, lustra w łazienkach i umywalniach, rozmontowali gruntownie aparaty filmowe, wybili Rentgenowi zęby w szpitalu, popalili auta, motocykle i armaty w garażu, wysadzili, rabując amunicję, część muru koszarowego, połamali bardziej rzucające się w oczy mahoniowe, salonowe meble i zapaskudziwszy z czubem miski klozetowe, odeszli, śpiewając hymny narodowe.

Była więc szafa, dalej sklecony ze szczątków tapczan, przykryty imitacją tygrysiej skóry, zawalony kupą publicystycznych książek, skrupulatnie wybranych z pomiędzy śmiecia, zalegającego dziedziniec, biblioteka bowiem, na równi ze szpitalem, apteką, kinem i olbrzymią kartoteką, zawierającą legitymacje i fotografie wielu dziesiątków tysięcy SS-mannów, została rozbita w puch i wyrzucona na bruk.

Siedziałem, wciśnięty w róg kanapy, gapiąc się bezmyślnie na ciemniejszą plamę na ścianie, ozdobioną niewiadomo skąd wytrzaśniętym Norwidem, ewangelicznie brodatym.

Zza uchylonych drzwi dochodził z korytarza brzęk kotła Tu, na pokojach oficerskich, nawet grunwaldowy gulasz wydawano bez kolejki i bez kontroli. Każdy oficer brał dwie, trzy miski, na zapas, na wieczór. Bo z chlebem to różnie bywało, najczęściej trzysta gramów. Nawet dla żołnierzy mało, cóż dopiero dla oficerów!

Redaktor wepchnął się do środka, piastując w rękach dwie pełne, dymiące zapachem mięsa miski. Wetknął mi jedną do rąk.

Masz, jedz i rośnij —— rzekł krótko, ale dobitnie. Wydoskonalił sobie dykcję, był bowiem troszeczkę głuchy, a mieszkał z kapitanem, byłym korespondentem dziennika w Białymstoku, głuchym jak wyschły pień. Obaj napełniali pokój niespokojnym buczeniem jak niesforne bąki.

Wolno zanurzyłem łyżkę w gulaszu, wybierając starannie mięso. Nie byłem już zachłannie głodny. Z okazji Bitwy pod Grunwaldem, wydzielono nam po litrze kartofli z mięsem i sosem.

— Wiesz, że chciałbym mieszkać w pokoju — rzekłem do redaktora, który odsunął maszynę i matryce pod okno, zasiadł przy stole i mlaskając głośno językiem, wziął się raźno do jedzenia. — Żebym mógł porozkładać moje książki, powiesić na noc spodnie w szafie. No i w ogóle spać w łóżku. Sam w pokoju, to cholernie przyjemnie!

— Albo we dwoje! — huknął redaktor.

— Z tym drugim? — skrzywiłem się z niesmakiem.

— Nie, z dziewczyną. Przygadałeś z transportu, widziałem?

— Co się dziwisz? Po obozie, to już chyba czas? — Redaktor trafił do obozu z powstania, wprost od młodej żony.

— Może ucieknę z nią na Zachód. Odłożył łyżkę i popatrzył na mnie spod oka.

— No, wiesz — zakpił — ty i ucieczka! Szczeniaczku, rzuciłbyś swoje wiersze i książki? Nie bałbyś się świata? A jakbyś musiał pogłodować?

Obrażony, odsunąłem miskę. Odwróciłem twarz ku oknu. W szczerbach wybitej szyby słońce rozwidlało się w tęczowe, pawie błyski.

— No, nie martw się — redaktor wstał od stołu i pogłaskał mnie po twarzy. — Jakim mnie stworzyłeś, takim mnie, Panie Boże, masz. A w tym pochodzie z mięsem byłeś?

— Byłem — mruknąłem niechętnie. — Moglibyście napisać o tym. To sensacja!

— Prawdziwa sensacja obywa się bez prasy, mój maleńki. Zresztą ksiądz Tokarek nie pozwoliłby napisać. Jesteśmy przecież gazetą rządową!

Ułamał kawałeczek chleba i umaczał w sosie.

— A tobie udało się uciec?

— Żołnierze mnie puścili. Angielszczyzną świat przejdziesz. Wyklarowałem okejom, że ja nic, że przypadkowo, opowiedziałem o sprawie. Pokiwali głowami. Jeszcze mi jeden rękę podał. Znasz Stefana? — zapytałem.— Był blokowym na szonungu.

— Komunista? Byłem u niego na bloku. Nienajgorszy.

— Szuja — orzekłem zwięźle. — Bił ludzi, wysługiwał się esmanom, żeby tylko zostać blokowym i mieć bindę. Kiedy go wyrzucili na komando, to chodził jak struty Trzech dni z fasonem nie umiał wytrzymać. Żaden lagrowiec. Redaktor pokiwał głową. Przechylił miskę i pił sos.

— Można powiedzieć — przeciągnął z wileńska między jednym a drugim łykiem — że go troszkę nie lubiłeś.

— Ale umiał znaleźć się, nie ma co! Krzyczeli na niego, że komunista i bandyta, a szczególnie Pułkownik. A on powiedział, że owszem, biłem i kradłem dla tych tam Pułkowników i Majorów. Ale dziś bym już nie bił i nie kradł. Niechby zdechli w obozie, jeszcze bym im pomógł. Krzyk się zrobił, że ola!

— Nie wsadzili go przecież, słyszałem?

— First Lieutnant dał mu do wyboru albo karę bunkra albo wydalenie z obozu. Nie mógł inaczej zrobić, bo Arcybiskup przysłuchiwał się cały czas. Stefan wziął Niemkę pod pachę, przeprosił ją i wyszli razem z obozu.

— Tak przy Arcybiskupie? A podlec! Przecież całe wojsko w jego oczach skompromitowane. — Wylizał łyżkę, wytarł miskę papierem, papier wyrzucił przez okno, miskę wstawił do szafy, szafę dokładnie zamknął, usta wysuszył chusteczką, chusteczkę schował do kieszeni, maszynę spod okna postawił na swoim miejscu i wtedy, gotowy do wyjścia, oznajmił:

— Pójdziesz do teatru. Są dwa bilety. Janusz — to był ten drugi, głuchy — poszedł na brydża do Rotmistrza. Przyjechał ktoś z Drugiego Korpusu, może nas zabierze do Włoch. Ale o tym sza! boby wszyscy chcieli. Grają teraz razem w karty. Nic ich nie ruszy, nietylko Arcybiskup, ale nawet rewia.

I wypchnął mnie za drzwi, odbierając mi książkę z rąk. Zlustrował mnie przytem podejrzliwie. Nie lubił, jak mu cichaczem wynoszono druki. Zamknął uważnie drzwi na klucz, zastukał do sąsiednich, zanurzył się w dym, który zwijając się przy zamkniętym oknie, wyściełał pokój jak gęsta wełna. Na brudnej podłodze stało przy krzesłach kilka misek z niedojedzonym gu-

Ilustrował K. Sosnowski

GRUNWALDEM

laszem. Pewnie go zostawili na wieczór. Redaktor rzucił klucz na stół i nie powiedziawszy ani słowa, wyszedł.

Na dziedzińcu kończono przygotowania do wieczornego ogniska. Wzniesiono solidny, czworokątny stos, wzmocniony smolnymi pniakami po bokach, a na słup, który sterczał na szczycie, nasadzono niemiecki hełm, pod słupem zaś skrzyżowano dwa strzaskane niemieckie karabiny bez zamków. Wokół stosu stały ławy, krzesła i fotele.

Chociaż wszyscy z napęciem oczekiwaliśmy ogniska i narodowych występów wieczornych, cała zasiedziała ludność koszar, oprócz oczywiście tych, co grasowali za budynkami, pilnowali sztub przed złodziejami, lub byli na wyprawach poza obozem, przeniosła się pod garaże, z których urządzono teatr. Przed zamkniętą bramą teatru stał tłum, klął i groźnie krzyczał, napierając na przepasanego narodową szarfą policjanta w amerykańskim tekturowym hełmie. Policjant rozkrzyżowanymi rękoma patetycznie bronił wejścia.

— Ludzie, nie ma miejsc! Zlitujcie się, ludzie! Przydźcie jutro! Jutro będziemy powtarzać Grunwald! Każdy zobaczy! — krzyczał ochryple, coraz ochryplej, aż zapiał jak kogut, umilkł i opuścił ręce.

Odepchnięto go od wejścia, zerwano i zadeptano narodową szarfę. Tłum rzucił się do bramy. Jęknęła, ale zamki nie puściły.

— Za grosz inteligencji — rzekł ubawiony Redaktor i pociągnął mnie na drugą stronę garażu do małych drzwiczek dla aktorów. Gdy wślizgnęliśmy się na widownię i na migi załatwiliśmy sprawę z policjantem, woźnym w teatrze, odczułem wyraźnie, że przez chwilę byłem także jak oficer.

Umieściliśmy się tuż za generalicją, w drugim rzędzie, na który padało jeszcze żółte światło ze sceny. Reszta wąskiej, ale niezmiernie długiej sali tonęła w czarnoniebieskim mroku, z którego błyszczały ostro zapatrzone ludzkie twarze. Z zewnątrz dochodziły wrogie okrzyki szturmującego tłumu i skrzypiały wyważone, żelazne drzwi. Nikt na nie nie zwracał uwagi. Wszyscy patrzyli na scenę.

Bo oto na środku jaskrawo oświetlonej sceny, przybranej w czerwień, biel i żywą zieleń, i podpartej czarnym pudłem rozdrganego patriotyczną melodią fortepianu, stała zapłoniona jak dziecko na imieninach Śpiewaczka, hojna blondyna w krakowskim stroju, umajona wieńcem niedojrzałych, ale już płowiejących kłosów. Palcami podtrzymywała spódniczkę i oczy wznosiła niewinnie ku kurtynie, ku sufitowi, ku niebu.

Wkoło niej upozowało się kilku młodych ludzi w obozowych pasiakach, podtrzymujących wstążki od jej stanika. — Paru z nich znałem: byli schreiberami w przesławnym obozie Allachu, pasiaki leżały na nich jak ulane, musiały być szyte specjalnie na zamówienie jeszcze w obozie. Inni, w robotniczych kombinezonach, krzątali się na peryferiach sceny, jeździli z taczkami i obnosili naokoło Śpiewaczki łopaty, kilofy i łomy.

Na samym zaś przedzie, nieomal na krawędzi sceny, stał gruby i płomienny Aktor i dłonią wskazując na Śpiewaczkę, kończył z patosem wiersz:

„w imieniu Bogurodzicy,
Dzieci my Twoje, Polsko, żołnierze i robotnicy!"

Straszliwy trzask wyważonej bramy i triumfalny krzyk wwalającego się do przepełnionego garażu tłumu zlał się z ogromnym hurkotem oklasków i histerycznym, patriotycznym wrzaskiem widzów. Kiedy się nieco uciszyło, a prześcieradło kurtyny poszło ponownie na boki, by jeszcze raz pokazać zapłonioną Rzeczpospolitę oraz jej kochanka, Aktora, w zachwyceniu w Nią wpatrzonego, Redaktor, który się nareszcie umieścił jako tako na skraju ławy, pochylił się ku mnie konfidencjonalnie i huknął głośno i z niekłamanym zadowoleniem:

— Szkoda, że jeszcze łóżka na scenę nie wstawili! Fajna Rzeczpospolita! I warta grzechu!

IV

— Powiedz mi, po co ty siedzisz w tym obozie? Czy cię nic stąd nie rwie naprzód. — Dziewczyna pochyliła się czule nade mną. Zbyt pełny biust zakołysał się pod bluzką. W jej niespokojnych, opalizujących oczach odbijałem się małym, wypukłym fragmentem siebie. Podniosłem głowę i chciałem pocałować ją w wilgotne rozchylone usta. Zmarszczyła brwi i odsunęła się.

— Nie, nie rwie mnie już nigdzie — westchnąłem leniwie i sennie opadłem na ziemię, pachnącą zbutwiałym igliwiem. — Ty i tak kochasz tylko tego, który pozostał w Polsce.

Zamknęła mi usta dłonią.

Nad nami piął się w niebo sosnowy las i szumiał. Wiatr szeleścił, ocierając się o korę drzew. Słońce rozszczepione w wierzchołku sosny, jak pierzasta strzała spadło w głąb lasu i utkwiło w bladozielonej trawie, która prześwietlona jak cieniutkie złoto, pełna była rozleniwiającej woni lata. Rozchodziło się od niej urzekające ciepło, jak od ciała kobiety. Zabłąkany bąk, mały bombowiec, zahuczał nad nami i usiadł na łodydze dziewanny.

— Gramoli się żarłocznie w konchę, *jak kosmaty psiak do miski z mlekiem* — rzekłem pobłażliwie.

— Raczej jak dziecko na parapet okna — zaobserwowała dziewczyna. — Ach, ileż ja ich wyniańczyć musiałam Nienawidzę dzieci! — krzyknęła. Spłoszony bąk odleciał z gniewnym pomrukiem. — Chodź — zdecydowała się nagle. — Już późno. Patrz, jak pociemniały sosny. Czwarta? Piąta? — Popatrzyła w górę ku czubom sosen, zanurzonym w lekkim potoku wiatru. — O, jak nisko słońce. — Uniosła się na kolana, strzepnęła resztki igliwia z sukni i poprawiła włosy.

— Chodź — zerwała się niecierpliwie, odsuwając moje ręce. — Jedź ze mną! Ach, jedź ze mną! Ja tak się boję Palestyny!

Przez las płynęła asfaltowa droga, ujęta w tamę topól. Chodziły po niej pary, rozgrzane i barwne.

— Widzisz, Nino — na skraju lasu przerwałem milczenie i ująłem ją wpół — tak żyją Niemcy. I ja tak chciałbym żyć, rozumiesz? Bez obozu, bez wojska, bez patriotyzmu, bez dyscypliny, normalnie, nie na pokaz! Nie pobierać zupy z kotła, nie myśleć o Polsce.

— No, właśnie — podchwyciła Nina — —jedź ze mną na zachód. Ja jestem naprawdę wolna.

— A chłopiec w Polsce?

— Zapomnę o nim.

— Ale dotąd nie zapomniałaś?

— Nie miałam innych, więc nie zapomniałam.

— Nie miałaś?

— Ci ludzie, z którymi jadę od Polski — podjęła po chwili z wysiłkiem — to są obcy. Mogę się od nich oderwać. Pojedziemy do Brukseli. Mam tam siostrę za bogatym Belgiem. Będę studiowała medycynę.

Asfalt parzył pod nogami. Nad drogą płynęły kopulaste topole, których sklepienie wiodło aż pod czerwone mury i wieże koszar i opasawszy je zielenią jak mostem, pięło się nabiegając złotem jak dojrzałe jabłko, ponad gontowe dachy podmiejskiego osiedla, przebłyskujące różowo poprzez niebieskawy dym powietrza jak przez jedwabny szal.

— Nino, zostań ze mną—rzekłem niespodziewanie. — Ja tu nie jestem niczym, ale się wybiję. Mam kolegów, którzy mi pomogą, mam książki, od których trudno mi odejść. Tak je zbierałem, rozumiesz? Ja boję się ryzyka, za dużo śmierci widziałem, żeby się dać zabić. Niech inni, po co ja? Boję się przestrzeni, boję się ludzi, bo cóż ja jestem? Jakie mam prawa? — Umilkłem, szukając w myśli praw, przysługujących mi. — Żadnych! Rozumiesz, żadnych! — zawiesiłem głos i wpatrzyłem się w jej twarz, jakby szukając tam współczucia. — Jeżeli pójdziemy stąd, to nam nikt nie da jeść. Na każdym skrzyżowaniu mogą nas złapać te czarne małpy w białych kaskach i wsadzić do nieznanego obozu, w którym zeżre nas głód.

— Ja się nie boję — rzekła sucho Nina.

— Ale nie mieć nigdy gruntu pod nogami! — Urwałem, szukając sugestywnej metafory. — Być jak drzewo bez korzeni! Uschnąć!

— Więc wracasz do Polski — stwierdziła dziewczyna i skrzywiła pogardliwie usta, kiedy pragnąłem usprawiedliwić się. — Chciałeś mnie tylko na jeden dzień jak wszyscy.

— Wszyscy? — gwizdnąłem przez zęby.

— Tak, wszyscy! — krzyknęła. Potknęła się. Podtrzymałem ją za ramiona. Wyrwała się gwałtownie i wrogo. — Wszyscy, dla których jestem żydówką! Widzisz to? — ujęła za talizman w kształcie świstawki. Palce jej drżały. Nie spytałeś mnie do tej pory, co to jest, inaczej niż inni. To są tablice Mojżesza, przykazania po hebrajsku. To ma mnie łączyć z Żydami. Ale ja nie jestem ani Żydówką, ani Polką. Z Polski mnie wyrzucili. Do Żydów mam wstręt. Myślałam, że są jeszcze inni ludzie. Ale ty nie jesteś człowiekiem, jesteś tylko Polakiem. Wracaj do Polski! — krzyknęła zjadliwie — wracaj do Polski!

— Wracaj do Polski — przestraszyłem się głosu jak ptaka, który nagle zrywa się spod nóg.

W wysokiej, złotawej trawie błyszczał czarny, krótko strzyżony łeb. Stefek podniósł się z ziemi i ukłonił się dziewczynie. — Wracaj do Polski — powtórzył. — Chodź ze mną. Ja idę na piechotę.

— Na piechotę? Toś morowy chłop— zachwyciłem się zdawkowo. — A gdzie Niemka? — rozejrzałem się podejrzliwie.

— Poszła w krzaki. No, odprowadziłem ją do domu — przejechał ręką po włosach. — Fajna dziewczyna. Pójdziesz ze mną?

—Wiesz, poszedłbym, ale — zawahałem się. Sukienny mundur rozparzał całe ciało. Stefan zmrużył oczy od blasku i spod powiek przyglądał mi się z otwartą pogardą. Kręcił w palcach suchą gałązkę, złamała się z trzaskiem.

— Książeczki, książeczki — uśmiechnął się gorzko—to chcesz mi powiedzieć? I że będziesz głodny po drodze? Że jak się unormuje? A ja ci powiem: spódniczka cię trzyma, bracie. Upolowałeś spódniczkę, upolowałeś, co? — Zęby mu błysnęły jak u psa. Przyłożył dłoń do podbitego okna. — Co tu masz oprócz tej Żydówki?

— Wracajmy do obozu — rzekła Nina przejmującym szeptem. — Pan jest, pan jest... — zacisnęła pięści. Podbródek jej drżał spazmatycznie. — Pan jest jak SS!

Stefan uśmiechnął się lekko. Nie zwracał na dziewczynę uwagi.

— Obóz jest obstawiony przez Amerykan — rzekł do mnie. — Chciałem wejść i zabrać koc. Nie puścili. Jutro będą wszystkich wywozić! Wszystkich!

— Oszalałeś! I Pułkownika i Majora? I cały sztab! A księży, a kuchnie?

— Idź do obozu, to zobaczysz — powiedział Stefan. — Czekam w Polsce.

— Nie wywiozą, mylisz się, przecież dziś Grunwald.

— Grunwald! — Stefan roześmiał się, dotknął swego podbitego oka. — Ruszaj z Grunwaldem — rzekł ironicznie i zniknął w lesie bez pożegnania. Potrącone gałęzie jedliny chwiały się za nim.

— Wracajmy do obozu — rzekła Nina. Oddychała ciężko jak ryba, wyrzucona na brzeg. — Trudno, wracajmy. Może się nam uda dostać do środka.

— Na pewno się uda — powiedziałem nieco skwapliwie.

Ująłem ją pod ramię i poprowadziłem wzdłuż drogi. Przylgnęła do mnie. Poruszała bezgłośnie wargami, jakby coś mówiła do siebie. Strumyk rowerów ciekł nieprzerwanie po dnie asfaltu. — Niemcy wykorzystywali gorące, letnie popołudnie. Na skrzyżowaniu siedział człowiek z obozu. Dwie czerwone walizki postawił w cieniu, żeby lakier nie roztajał. Gmerał w otwartym plecaku. Czerwone kepi, ozdoba muzułmańskich oddziałów SS, zsunęła mu się na ucho. Czarny kutas dyndał się za każdym poruszeniem głowy.

Od obozu aż po las przewijał się w trawie sznur ludzi. Znali szpary i przejścia, mniej pilnowane i wymykali się z koszar, póki czas.

Przyśpieszyliśmy kroku. — Kopuły drzew szumiały, jakby las szedł razem z nami. Pod kępą uschniętych krzaków stało parę czołgów i porządnie jak w sklepie z manufakturą leżały poskładane karabiny, pociski armatnie i miny niemieckie. Pilnował ich drzemiący w upale żołnierz amerykański.

Przy drodze kolumna ciężarówek zwracała wąskie jak u głodnych szczurów ryje motorów ku obozowi. Czekały jutra. Między samochodami krzątali się półnadzy murzyni. Świecili się ostrym brunatnym potem jak pokropieni miedzią. Pokrzykiwali do nas, gdy mijaliśmy ich bokiem, aby wyszedłszy na koszary od tyłu, wedrzeć się do nich przez rozbitą, zawaloną gruzem bramę, klasyczne miejsce transportu baranów. Przy dziurze nie było nikogo. Natomiast u narożnika, tam gdzie mur rzucał nieco chłodu na spieczoną ziemię, pod daszkiem z papy, podpartym paroma patykami, w głębi cienia siedział żołnierz i drzemał. Położył na trawie hełm, karabin wetknął między kolana, podbródkiem dotykał piersi. Przy drugim narożniku stali dwaj żołnierze w porozpinanych bluzach, gadali hałaśliwie i częstowali się papierosami.

Całkowicie odsłonięci, staliśmy na łące przed bramą jak para zagubionych dzieci przed chatką czarownicy.

— Zaczekajmy do zmroku — rzekłem, zdjęty niepokojem — może nie puszczą nas. Wracajmy do lasu.

Wysunęła mi się spod ręki, parskając krótkim, pogardliwym śmiechem.

— Tak ci się śpieszyło na Grunwald i co? Znowu się boisz? Poczekaj, maleństwo, idź za mną.

I zanim zdążyłem coś powiedzieć, uczynić jakikolwiek ruch, dziewczyna poprawiła niecierpliwie spódniczkę, obciągnęła bluzkę na zbyt pełnym biuście i puściła się pędem ku bramie. Dopadła gruzów i poczęła się na nie wspinać. Na szczycie podmuch wiatru opiął jej ciasno biodra i rozczesał włosy. Przytrzymała je ręką, prąc przeciw wichrowi. Odwróciła na moment ku mnie roześmianą ironicznie twarz. Zawołała, ale wiatr rozerwał jej wołanie na strzępy. Poderwałem się biec za nią i nagle stanąłem. Podniosłem rękę, żeby dać jej znać, odwróciła się ode mnie, chciałem krzyknąć ,ale milczałem. Dwaj żołnierze, którzy częstowali się papierosami, odwrócili się ku bramie, a jeden z nich, zdejmując z ramienia karabinek, zawołał ze śmiechem na całe gardło:

— Freulein, Freulein! Halt, halt! Come here!

— Stop, stop! — krzyknął piskliwie drugi.

Ciąg dalszy nastąpi

W TEATRZE KAMERALNYM

Komedia Jean Anouilh'a „Spotkanie" („Le rendez vous de Senlis") powstała na kilka lat przed wojną. Teza jej odpowiada tendencjom, które pojawiły się w owym czasie w wielu powieściach: na dnie tej sztuki odnajdujemy westchnienie do ustabilizowanego na modłę mieszczańską życia, mit szczęśliwej rodziny, harmonijnej komórki rodzinnej, której szukać wypada gdzieś na odosobnieniu, na prowincji, a nie w piekiełku wielkiego Paryża. Omówienie tych tendencji, które często nawiązywały do naiwnych wyobrażeń dzieciństwa, wprowadzonych do literatury przez Allaina Fournier („Duży Maulnes") zajęłoby za dużo miejsca, a sztuka Anouilh'a daje ku temu zbyt błahy powód. Dość będzie tylko przypomnieć sobie, jak często we wcześniejszych latach naszego burzliwego stulecia, w literaturze i zwłaszcza w sztukach teatralnych atakowano właśnie ustabilizowaną rodzinę mieszczańską, zwłaszcza prowincjonalną i zwłaszcza rentierską, jako zorganizowaną komórkę fałszu, szkołę obłudy i katownię miłości. Atak szedł z pozycji „wolnych duchów", czyli mówiąc wulgarniej, elementów lumpen-mieszczańskich. W okresie międzywojennym, w latach zaognionych kryzysów, sytuacja się bardzo zmieniła, coraz pokaźniejsze warstwy mieszczańskie traciły stały grunt pod nogami i perspektywy rentierskie, dawniej przyświecające każdej rodzinie. Utracona przeszłość wypiękniała, przelała się w świat marzenia. Bohater sztuki Anouilh'a pan Jerzy Delachaume wyimaginował sobie na użytek przypadkowo poznanej naiwnej panny z prowincji — obraz swojej rodziny w sielankowych barwach, wymarzył sobie czułych i wyrozumiałych rodziców, uroił sobie wiernego, oddanego przyjaciela, cały ten fikcyjny obraz umieścił na prowincji. I kiedy nadeszła chwila konfrontacji, pan Jerzy na chybcika wynajął stary niezamieszkały dom pod Paryżem, zaangażował dwoje starszych aktorów do odegrania roli rodziców, a kelnerowi z zakładu gastronomicznego polecił przedzierzgnąć się na jeden wieczór w starego sługę. Wszystko to zresztą miało spalić na panewce.

Taka jest zawartość pierwszego aktu komedii. Autor bardzo słusznie obdarza swojego bohatera kryzysową filozofią życia Pan Jerzy Delachaume nie marzy o długotrwałym szczęściu przy ciepłym ognisku domowym, okres możliwego w życiu szczęścia kurczy się do jednego wieczoru, do kilku godzin, do fikcji, do inscenizacji szczęścia. W akcie drugim ukazuje się podszewka tych marzeń, jadowita prawda życia rodzinnego, [illegible] jest utrzymankiem swojej żony, kapryśnej i histerycznej dziedziczki jakichś wielkich zakładów przemysłowych. Córeczka wielkiego przemysłu utrzymuje ponadto jego rodziców i zawistnego przyjaciela Roberta, za którego pan Jerzy wydał swoją przyjaciółkę, Żanetę. Wszyscy mężczyźni w tej pasożytniczej i zwyrodniałej komórce rodzinnej nazywają siebie wykolejeńcami. Autor wyraźnie akcentuje, że jest to pewien stan społeczny, a nie jakieś przypadkowe połączenie osobistego pecha z osobistym niedołęstwem. Paroksyzmy giełdy odegrały w losie rodziny Delachaume decydującą rolę. Dawniej w czasach Gambetty, starzy byliby już rentierami, a młodzi sposobiliby się do rentierskiego życia na odpowiednich, niewygórowanych, ale kierowniczych stanowiskach. Faktycznie jest to chronicznie bezrobotna inteligencja mieszczańska, kurczowo broniąca się przed degryngoladą. Patrząc na to towarzystwo, pokojówka żywiącej ich, kapryśnej pani domu, nazywa siebie z dumą pracownikiem i związkowcem. Autor zachował starą teatralną konwencję hierarchii. Od początku do końca sztuki osoba rządząca tym światem kryzysowego mieszczaństwa nie ukazuje się ani razu, podobnie jak bogowie w dramatach greckich, jak królowie i władcy w dramatach klasyków francuskich.

W sztuce tej są jeszcze dwa akty. Dwa akty brodzenia dokoła wytworzonej sytuacji. Pełno tam wzajemnych wyjaśnień, eksplikacji, motywowań psychologicznych, reminiscencji z lat dziecięcych (O, nieszczęsny Allainie Fournier!). Miejscami wyraźnie prześwieca literacka szmira, zwłaszcza kiedy jedna pani mówi do drugiej: "Nienawidziłam pani jeszcze wtedy, kiedy on pani nie znał, kiedy dopiero szukał pani po świecie". Na koniec pan Jerzy Delachaume wyrywa się z objęć rodziny, aby rozpocząć nowe życie przy boku czystej i szlachetnej panny z prowincji. To rozwiązanie mało pociesza widownię, której poczucie moralne wymagałoby raczej, aby wyrwał swoją przyjaciółkę z objęć swojego przyjaciela. Ale wtedy upadłaby cała teza z ostatnich lat międzywojennych, która widocznie bardzo odpowiadała mieszczańskiej widowni paryskiej, a nas obecnie tylko przejmuje politowaniem.

W pierwszym akcie, pomimo przydługiej ekspozycji, jest sporo scen zabawnych. Zakradł się nawet, niestety tylko na chwilę, humor amerykański, kiedy to ludzi wynajętych do odegrania roli rodziców i służącego opętał nagły strach w pustym tajemniczym domu. Na ogół pomysł robienia teatru w teatrze nie wyszedł na dobre autorowi. Przez całą sztukę sytuacje „na niby" przelewają się w sytuację „na serio", poszczególne osoby wypowiadają swoje najgłębsze uczucia pod pozorem mówienia „na niby", plącze się i tłamsi jakowaś „teatralizacja życia", słowem niebywała gratka dla mało zorientowanych kulturalnie ludzi teatru, niesmaczna kabała dla ludzi, którzy pamiętają pradawne bajdurki Jewreinowa. Może się w tym wszystkim Teatr Kameralny Żołnierza w Łodzi dopatrzył jakiegoś humoru, ale go przecież nie uwydatnił. Reżyser spektaklu Kazimierz Rudzki w pogoni za finezją osiągnął monotonię. A przecież miał do dyspozycji utalentowanych bardzo artystów. Nie podzielam zdania niektórych widzów, że atletyczna budowa Jerzego Duszyńskiego nie harmonizuje z naiwnymi marzeniami, jakimi autor obarczył swego bohatera, ale te marzenia tak wymęczyły artystę, że kiedy wreszcie los go obdarzył ideałem szczęścia z prowincjonalnej rodziny, zamiast cieszyć się, wyglądał jak Jonasz wypluty z paszczy wieloryba. Zofia Mrozowska jeszcze nie ocknęła się ze snu o „Elektrze", mimo, że wypuszczono ją na scenę prawie bez charakteryzacji. Niechże nareszcie jakiś młody reżyser zlituje się nad młodą artystką, zedrze z niej okowy integralnej sprawiedliwości, czystości, szlachetności i da jej rolę jakiejś ludzkiej amantki. Świetnie ucharakteryzowana Danuta Szaflarska olśniewała widownię urodą wampa, jak z kolorowej okładki magazynu w czasach Barbary la Marr. Paliła papierosa na długim ustniku i na znak zdenerwowania poruszała stopą pod fałdami sukni. Tylko zbyt jednostajnie eksponowała głos. Stanisław Jaśkiewicz, tak świetny w „Barbarze" Bernarda Shaw, uparł się i postanowił tym razem udawać cynika antypatycznego od początku do końca. Starsza generacja — Melina, Dejunowicz, Horecka, Tatarski, Dunin i Jakubińska — wykazała więcej wprawy i nie dała się wciągnąć w monotonię. Sensowna i dobra dekoracja Ottona Axera po raz pierwszy bodaj pozwoliła widzom zapomnieć o ciasnocie sceny kameralnej Teatru Żołnierza.

awk

„Krakowiacy i Górale" w Teatrze Wojska Polskiego
Zdjęcia wykonali: St. Brzozowski i J. Malarski

„Spotkanie" komedia Jean Anouilha w Teatrze Kameralnym w Łodzi

„Powrót Posła" w Teatrze Wojska Polskiego
Zdjęcia wykonali: St. Brzozowski i J. Malarski

„Powrót Posła" w Teatrze Wojska Polskiego

Aby sugestywniej wprowadzić widza w atmosferę, towarzyszącą prapremierze komedii Niemcewicza w teatrze Bogusławskiego, reżyser (W. Kaczmarek) poprzedził spektakl prologiem, w którym trzy postacie w kostiumach historycznych — Obywatel, Patriota i Warchoł — rozprawiają o znaczeniu „Powrotu posła" i jego związku z pracami Sejmu Czteroletniego. Prolog ten jest zręcznym na ogół montażem fragmentów pamiętnika Niemcewicza i innych źródeł historycznych. Ta niemcewiczowska Polska, Polska Trzeciomajowej Konstytucji jest nam dziś szczególnie bliska swoją atmosferą i reform rewolucyjnych; jak wiadomo, zwolennicy reform spotykali się ze strony ówczesnej reakcji z oporem niemniejszym od tego, który przeszkadza dziś obozowi postępu w jego pracach nad rozsądnym uregulowaniem zagadnień społeczno - gospodarczych w naszym kraju. „Powrót posła" ma więc dla nas szczególną wymowę polityczną; są w tej komedii zwroty i całe fragmenty, które dałyby się żywcem niemal przenieść na nasz grunt, tak brzmią świeżo i aktualnie.

Dodany przez reżysera wstęp ma zatem pełnić funkcję podwójną: dostarczyć widzowi pewnych wiadomości historycznych, potrzebnych mu dla należytego zrozumienia i oceny komedii Niemcewicza na tle ówczesnych wydarzeń, oraz podkreślić aktualność niektórych partii tekstu, posiadających żywą wymowę polityczną. Trzeba przyznać, że obie te funkcje są dziś istotnie ważne: niewątpliwie, inaczej jakoś będziemy patrzeć na tę staroświecką komedię, gdy dowiemy się np., że występujący w niej Starosta Gadulski był świetnie uchwyconą karykaturą jednego z największych krzykaczy partii reakcyjnej Suchorzewskiego i że urażony tym szpetnym obrazem swojej osoby Suchorzewski wystąpił w kilka dni po premierze w sejmie z żądaniem skonfiskowania całej sztuki. Zwrócenie uwagi na liczne związki „Powrotu posła" z konfliktami politycznymi naszego czasu powinno przyczynić się do żywszej percepcji tego czcigodnego dzieła.

Jednak bezpośrednie wyrażenie pewnych myśli politycznych w prologu zdawało się jakgdyby odciążać reżysera w jego trosce o uplastycznienie tych myśli w samym spektaklu. Przedstawienie zbliża się raczej do formy stylowej komedii. Oprawa sceniczna (A. Jakubowskiej) naśladuje na ogół dość wiernie malowane na jednej płaszczyźnie dekoracje teatru Bogusławskiego i ubóstwo umeblowania wnętrz tego teatru. Gra aktorska zmierza wyraźnie w dwu kierunkach. Jedna grupa to ci, którym tekst dostarcza okazji do zbudowania postaci charakterystycznych; druga grupa, liczniejsza, dąży raczej do stylowego, szlachetnego deklamowania tekstu. Głos nie ma tu dużej skali, opiera się zasadniczo na jednym tonie, ruchy są raczej oszczędne, rzadko wiążą się z określonymi przedmiotami (tekst zresztą daje pod tym względem naprawdę minimalne możliwości); gest również jest ograniczony, beztreściowy, konwencjonalny. Wszystko to świadczy o pewnej idealizacji. Wreszcie i wstawka choreograficzna na końcu sztuki (w opr. J. Mieczyńskiej) posiada również znaczenie stylizujące.

Trzeba przyznać, że pod względem jednolitości tej stylizacji reżyser osiąga na ogół dobre wyniki. Nawet postacie „charakterystyczne" dążą do ujednostajnienia, choć zarysowane są może zbyt ostro — zwłaszcza u S. Łapińskiego, który zresztą z ogromną pasją komiczną nakreślił sugestywną sylwetkę starosty Gadulskiego. Zarówno giętka w swoim komizmie i karykaturalnie „wytworna" postać starościny (J. Godlewska) jak nieco sztywniejszy (prawdopodobnie wskutek operowania zmienionym głosem) i bardziej ostry Szarmancki (A. Possart) mimo wszystkich przejaskrawień utrzymani są jeszcze w ramach tego stylu. Tym postaciom wychodzi to zresztą raczej na dobre; gorzej jest z drugą grupą — w sztuce dodatnią i pełną szlachetności, ale ujętą bardzo papierowo przez autora. Mimo ogromnych wysiłków ze strony grających je aktorów postacie te są wprawdzie stylowe, ale nie żyją. I tu właśnie wydaje mi się, że większa dążność reżysera do wyrażenia poprzez nie zaznaczonych w prologu treści politycznych, mogłaby im w dużym stopniu pomóc. Niektóre przynajmniej ze zdań wygłaszanych przez Podkomorzego mogłyby przestać być deklamacją, gdyby starać się przy ich pomocy scharakteryzować sytuację polityczną ludzi, którzy je mieli odwagę wypowiadać w epoce Sejmu Czteroletniego. Trzeba by wówczas dać im znacznie więcej ognia i rewolucyjności, bo przecież one naprawdę oznaczały rewolucję, godziły w przesąd, walczyły z zaśniedziałą w Polsce kołtunerią szlachecką. Brzmiały tak, jak dziś brzmią zdania naszej lewicy. Inne osoby z partii „patriotów" również dość często wygłaszają myśli, ukazujące poza retorycznym frazesem żywe i buntownicze treści. Skrzętna analiza historyczna zwracająca uwagę na to, co powiedzenia te wówczas oznaczały i jaki był ich wydźwięk polityczny, dopomogłaby może w niektórych wypadkach przegryźć się przez poetycką wielosłowność do jakichś zupełnie konkretnych treści.

Wykonawcy ról: L. Pietraszkiewicz (Podkomorzy), B. Bronowska (Podkomorzyna), J. Polakówna (Teresa), J. Świderski (Walery), A. Jaraczówna (Agatka), K. Dejmek (Jakób), L. Ordon (lokaj), Z. Skowroński (kozak), S. Środka (obywatel), T. Cygler (Patriota), K. Pągowski (Warchoł).

Edward Csató

„Krakowiacy i górale" w Teatrze Wojska Polskiego

Dość pouczające jest to już niemal tradycyjne zestawienie dwóch sławnych wesel na scenie: tego krakowskiego wesela z tamtym paryskim weselem Figara w przede dniu rewolucji francuskiej. Narodowa opera Bogusławskiego odegrała przecież swoją rolę rewolucyjną w jakobińskim kwietniu Warszawy 1794 roku nie gorzej od komedii Beaumarchais we Francji. Pouczające zestawienie: dwie sztuki tak się mają do siebie jak dwie rewolucje: insurekcja warszawska i zburzenie Bastylii. Zastanówmy się tylko przez chwilę. Tyrady Figara to niemal już gotowy i sformułowany polityczny program rewindykacji rewolucyjnych, wszystko tam mamy — drwinę, szyderstwo i patos, ironię i wspaniałą retorykę, zapowiadającą konwent. A tu? — Mamy Krakowiaka i kilka jakże niewinnych i łagodnych kupletów. I nie intelektualny program i polityczne deklaracje lecz polonez i mazurek, tężyzna i hołupce, krzepa i krakowiaki, obertasy i pohukiwania budziły u nas zawsze i tylko uzasadniony entuzjazm.

To był rok 1794, ale ta sama historia powtórzyła się po raz drugi w początkach powstania listopadowego, kiedy wystawienie „Cudu Mniemanego" stało się znowu wielką manifestacją patriotyczną. Co entuzjazmowało publiczność? Posłuchajmy tylko Maurycego Mochnackiego, który w „Powstaniu Narodu Polskiego" opisuje tak tę premierę:

„Dzień 5 grudnia, ten dzień tak ważny w historii naszego narodu zachodzi brzemieniem o przyszłość bliską pełną chwały rycerskiej, pełną zawiedzionych klęsk i zawiedzionych nadziei, a kończył się o zachwyceniu powszechnym jakby uroczystość weselna Polski. Wieczorem po raz pierwszy od upadku obcego jarzma otworzone widowiska publiczne nosiły na sobie tego entuzjazmu cechy. W teatrze narodowym publiczność licznie zebrana, gdy się ukazały na scenie chorągwie wyrażające herby Polski, Litwy i Rusi, nie mogła powściągnąć swego wojennego zapału. Tę myśl natychmiast obrócono do dyktatury, jako spełnić mającej ziem rozerwanych połączenie. Artyści i artystki otoczyły chorągwie i wspaniałe rycerskie, zanuciły hymny. Publiczność cała jednym ogromnym chórem miesza swój głos z nimi, i z nimi razem ostatnie zwrotki śpiewu „do broni Polacy" powtarza. Po zakończeniu widowiska „Krakowiacy i Górale" zabrzmiał w orkiestrze taniec Kościuszki, potem równie żałosny a poważny taniec Dąbrowskiego nareszcie Mazur legionów włoskich. Odsłonięto kurtynę i najpierw na scenie artystki z artystami tańczyć zaczęły. Ten przykład porusza parter, łączy ze sceną i cały teatr zamienia w jedno koło tańczące... Takim wieczórem witała Warszawa dyktaturę".

Tyle Mochnacki. Jest dla mnie w tym opisie przedstawienia z r. 1830 w tym „zachwyceniu powszechnym uroczystością weselną Polski", w tych pląsach w przede dniu klęski, w tym brataniu się stanów i powoływaniu wszystkich narodowych świętych jakaś groźna zapowiedź tańca chochołów w „Weselu" Wyspiańskiego.

Te gorzkie refleksje nie są zwrócone przeciwko „Krakowiakom i Górałom" Bogusławskiego. Raczej przeciwko historii Polski. Wtedy bowiem w r. 1794 te obertasy na scenie to był pogłos Racławic i mniejsza już o fałszywą czy konwencjonalną ludowość. Wtedy jej sens polityczny był zupełnie jawny, rzeczywiście rewolucyjny i naprawdę optymistyczny.

Bądźmy zresztą sprawiedliwi. „Cud Mniemany" jest nie tylko ludowym baletem. W samym środku tego wystylizowanego na modłę sentymentalną ludowego wesela umieścił Bogusławski piekielną maszynę racjonalistów. Student Bardos wchodzi na scenę z elektryczną maszyną. Muszę szczerze przyznać, że zaskoczyła mnie artystyczna wymowa tego połączenia nowoczesnej techniki z weselem na wsi krakowskiej. Wydała mi się ciągle jeszcze żywym wzorem prawdziwego nowatorstwa. Oczywiście, nie wymyślił tego Bogusławski. Brał co mu wpadło w ręce, konwencjonalne, obiegowe elementy współczesnego sobie repertuaru francuskiego i niemieckiego. Ale nadał mu inny i nowy sens. Napisał sztukę okolicznościową. A to było właśnie złamanie konwencji. Bezimienna, operowa, sentymentalna ludowość—dorosła do Racławic, elektryczna maszyna, która u Francuza była tylko dowcipną sztuczką jest tutaj orężem kołłątajowskiej „Kuźnicy". Ta „śpiewogra" jest mimo wszystko wzorem sztuki politycznej. Konkretyzuje, aktualizuje i nadaje sens ideologiczny temu wszystkiemu, co było przedtem tylko artystyczną konwencją. To było i to jest nowatorstwem. I dlatego wystawienie przez Leona Schillera „Cudu Mniemanego" jest także przełomem w poszukiwaniach repertuaru dla młodego teatru w Polsce. Pokazuje nową drogę. Przed „Krakowiakami" szedł „Powrót posła", a więc jeszcze komedia polityczna, okolicznościowa. Napisana na zamówienie społeczne, utylitarna, ordynarna niemal w prostocie, z jaką wszystkie środki artystyczne podporządkowuje doraźnym celom politycznym. A jednak „Powrót posła" pozostał żywy do dziś dnia. I politycznie ma jeszcze dobre pazury i artystycznie odpowiada naszym nowym gustom lepiej od teatru „wiecznych problemów".

Oczywiście „Powrót posła" i „Krakowiacy" są tylko jedną z dróg odnowienia repertuaru. Drogą nie jedyną, powtarzam, ale słuszną. W każdej sztuce okolicznościowej jest kawał historii. Trzeba go tylko wydobyć i pokazać. Tak zrobił Schiller i otrzymaliśmy najpiękniejsze widowisko od czasu wyzwolenia. Nie znaczy to, abym zgadzał się bez zastrzeżeń na wszystko. Ze „śpiewogry" nie da się zrobić „Wesela Figara". Dopisane prologi, jak wydają mi się, zbytnio śrubują znaczenie „Krakowiaków". Ta narodowa opera ma określone granice swojej politycznej zawartości, nie można ich zanadto przekraczać. Natomiast — świetnym i celowym pomysłem było włączenie do tekstu „Uniwersału Połanieckiego" i aktualizacja kupletów.

Przedstawienie stało się triumfem nie tylko samego Schillera. Kostiumy pomyślane zostały jako barwne elementy baletu. Mieliśmy możność rzadkiej satysfakcji z oglądania kompozycji, w której ruch i kolor współgrały ze sobą. I jakie kolory! Podziwiam Daszewskiego, który odnalazł jakiś złoty podział pomiędzy dekoracyjnością i stylowością kostiumów. I nie wiem, czy Hryniewieckiej czy Schillerowi przypisać rozwiązanie zbiorowych scen tanecznych, zdumiewające laika umiejętnością pomieszczenia na maleńkiej scenie kilkudziesięciu osób w pełni ruchu. I że się nie pozabijali, to był „cud mniemany".

W przedstawieniu, które jest wynikiem tak długiej roboty reżyserskiej, trudno jest wymieniać indywidualnie wykonawców. Jednolitość stylu gry została osiągnięta całkowicie i mogę tylko przepisać za programem nazwiska aktorów tego wspaniałego widowiska. A więc: Krasnowiecki i Pągowski, Miedziński i Bonacka, grające na zmianę z Godlewska i Sojecka, Maliszewski, Borowski, Środka, Przybylski, Pietraszkiewicz, Łapiński, Ordon i Puchniewska. A dalej Górale i Góralki: Szymański, Fijewski, Dejmek, Hryniewiecka i Radek. W prologu Ryszarda Hanin i Skowroński. Pominąłem tylko Tadeusza Cyglera, był tak wspaniały, że trzeba go wymienić osobno.

Jan Kott

Pod Protektoratem **dr. Józefa Putka** Ministra Poczt i Telegrafów w czasie do 31.XII. 1946 r. odbędzie się z inicjatywy Sp. Wyd. „Czytelnik" OGÓLNOPOLSKI POWSZECHNY KONKURS

pod tyt.

„JAK DOSTARCZYĆ SŁOWO DRUKOWANE NA WIEŚ".

Nagrody wynoszą zł. 50.000.—

Konkurs jest organizowany przez powołany w tym celu **Komitet Konkursowy**, w skład którego wchodzą przedstawiciele: Ministerstwa Informacji i Propagandy, Min. Komunikacji, Min. Oświaty, Min. Poczt i Telegrafów, Związku Gospodarczego R. P. „Społem", Zw. Zaw. Nauczycielstwa Polskiego, Związku Samopomocy Chłopskiej, Polskiego Radia, Sp. Wyd. „Wiedza" i Sp. Wyd. „Czytelnik".

CEL KONKURSU

Konkurs ma na celu zwiększenie czytelnictwa na wsi przez stworzenie warunków docierania słowa drukowanego — do ludności wiejskiej.

WARUNKI KONKURSU

1.

Konkurs polega na znalezieniu realnych sposobów, które by umożliwiły praktyczne — szybkie, stałe i punktualne — docieranie na wieś wszelkich wydawnictw z tych miast, w których są one drukowane;

2.

Udział w Konkursie brać może każdy obywatel Państwa Polskiego, zamieszkujący w jego granicach;

3.

Prace swe uczestnicy winni nadsyłać na adres:

KOMITET KONKURSOWY
„Jak dostarczyć słowo drukowane na wieś?" — Warszawa, ul. Daszyńskiego 14 (dawn. Wiejska);

4.

Prace konkursowe powinny być opracowane b. zwięźle (wskazane jest, by nie przekraczały 2 stron papieru formatu biurowego lub 4 stron papieru zeszytowego) i napisane bardzo czytelnie lub na maszynie. Prace napisane nieczytelnie nie będą ropatrywane;

5.

Wszystkie prace konkursowe muszą być nadsyłane w kopercie zamkniętej i podpisane tylko godłem, dowolnie obranym; druga koperta zamknięta opatrzona tymże godłem winna zawierać kartkę z nazwiskiem, imieniem, określeniem zawodu i dokładnym adresem autora;

6.

Nadsyłane pomysły konkursowe powinny uwzględniać m. in. następujące momenty: a) nie wszystkie wsie posiadają urzędy pocztowe, b) nie wszystkie wsie leżą przy stacjach kolejowych i autobusowych, c) w jaki sposób mieszkańcy wsi, którzy przez dłuższy okres czasu jej nie opuszczają, mogą stale otrzymywać i czytać wydawnictwa, d) znane ogólnie i stosowane obecnie sposoby kolportażu nie mogą być przedmiotem prac konkursowych. Chodzi o pomysły nowe;

7.

Za najlepsze pomysły, które praktycznie nadawać się będą do wykonania w terenie, będą przyznane przez Sąd Konkursowy następujące nagrody: I sza nagroda — zł. 20.000, II-ga nagroda zł. 15.000, III-cia nagroda — zł. 10.000, IV-ta nagroda zł. 5.000;

8.

Termin nadsyłanych prac konkursowych upływa z dniem **31 grudnia 1946 r.** Miarodajną jest data stempla pocztowego;

9.

W dniu **31 stycznia 1947 roku** odbędzie się ogłoszenie wyników konkursu za pośrednictwem prasy i radia z podaniem nazwisk autorów najlepszych prac;

10.

Komitet Konkursu zastrzega sobie prawo nie przyznania żadnej nagrody, jeśli nadesłane pomysły okażą się nierealne, lub też rozdzielenia kwoty konkursowej w inny sposób zaprojektowany przez Sąd Konkursowy;

11.

Projekty nagrodzone stają się własnością ogółu.

W NAJBLIŻSZYCH DNIACH nakładem **„CHŁOPSKIEJ DROGI"**

U K A Ż E S I Ę

PORADNIK ROLNIKA

KALENDARZ NA ROK 1 9 4 7

Wielki format. Ponad 300 stron bogato ilustrowanych. Zawiera wiele ciekawych i praktycznych wiadomości i porad niezbędnych dla każdego rolnika.

CENA ZŁOTYCH 100,—

Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach oraz punktach sprzedaży i księgarniach „Książki".

—▬—

Zamówienia pocztowe z wpłatą należności należy kierować na konto PKO I-1733 na adres: **Spółdzielnia Wydaw. „Książka" Warszawa, Aleja 3-Maja 36.**

FIGLARZE

W drugą niedzielę grudnia humor polski święcił swój wielki dzień. Zakonspirowani w PSL-u facecjoniści wypuścili złośliwą groteskę satyryczną przeciw własnemu stronnictwu, w formie odezwy PSL-u do wyborców. Śmiechu było siła. Ten pepeerowsko-pepesowski program polityczny podpisany przez naczelny komitet stronnictwa, którego jedyną racją istnienia jest rzucanie kłód na drodze demokracji polskiej, wywołał podobno uśmiech nawet na twarzach ponurych grafomanów z dodatku literackiego pisma dla wszystkich naiwnych. Nowy wodewil nieznanego pióra, godny zaiste Janusza Minkiewicza, składa się z kilku satyrycznych odsłon. Przemyślny autor powtarza w nich hasła stronnictw demokratycznych zręcznie przytem imitując nieporadność stylistyczną PSL-owskich felietonistów, a zwłaszcza Dzikowskiego i Szczawieja (znanego z przysłowia: „im Szczawiej, tem gorzej"). Nie wierzycie, to posłuchajcie: „Każde stronnictwo demokratyczne **ma mieć prawo** zgłoszenia własnej listy..."

Ten „mamieć" — to, drodzy obywatele, widomy znak w tekście, że odezwa istotnie wyszła ze stronnictwa Szczawiejów, mimo jej za łganych frazesów. Brawo figlarze! Poczytamy, co dalej piszecie:

„PSL skupia w swych szeregach najliczniejszą w Polsce warstwę chłopską, zjednoczoną przed 15 laty wolą chłopów z trzech grup ludowych".

Tu złóżmy hołd satyrykowi. W swej zręcznej gawędzie uśmiechnął się przecież w tym miejscu pod wąsem. Uśmiechnął się — on, który dobrze wie, że najliczniejszą w barach na Marszałkowskiej warstwa „chłopów" jest nadal jedną z trzech grup: grup niezjednoczonych, nawet w bloku wyborczym, właśnie przez złą wolę owej warstwy, której spory odłam można również spotkać u „Simona" przy ul. Nowogrodzkiej (prawdziwa szkocka whisky w cenie dostępnej dla włościan). Lecz posłuchajmy dalej humorysty:

„PSL ma pięćdziesięcioletnią tradycję walki o Niepodległą Polskę Ludową, o demokratyczny ustrój państwa, o równość i sprawiedliwość, o reformę rolną, o upaństwowienie i uspołecznienie wielkiego przemysłu i inne reformy gospodarcze, społeczne i kulturalne. Nie potrzebuje się stroić w cudze piórka na okres wyborczy".

A PSL stroi się, panowie, oj stroi się! I to w czyje piórka ustroił [illegible] niedzielny swawolnik! W pióra lewicy polskiej, w czerwoną barwę krwi, którą [illegible] od lat więcej niż pięćdziesięciu robotnik, chłop i inteligent, począwszy od „Gromady Grudziąż" i „Proletariatu", aż po dni dzisiejsze: w stronnictwach polskiej lewicy ludowej przelewa się dziś bowiem krew w tej samej walce — strzały padają z ręki dobrze znanej tym, którzy ze śmierci Bolesława Ścibiorka chcieli uczynić stawkę w grze prowadzonej po knajpach, lasach i kawiarniach. O tym, kto toczy w Polsce walkę o demokrację ludową, o reformę rolną, o unarodowienie wielkiego przemysłu, o sprawiedliwość i równość dla mas pracujących — nie ma chyba wątpliwości. Niedzielny pamflecista powiada, że walczy o to PSL. Cat Mackiewicz pisał kiedyś, że piłsudczycy; Stroński, że narodowcy. Figlarzy było wielu.

Dość żartów. Odezwa niedzielna jest dokumentem obłudy, Stronnictwo, o którym cały naród wie, że usiłuje związać los Polski z interesami zachodnich imperializmów, nie ma prawa wołać w odezwie przedwyborczej o „utrwalenie sojuszu i pogłębienie przyjaźni z ZSRR", bo sieje w ten sposób zło moralne— zło kłamstwa.

Nie mają również prawa osłaniać się hasłem „utrwalenia naszych granic zachodnich na Odrze, Nyssie Łużyckiej i Bałtyku" — ludzie spragnieni oddania przyszłości Polski w ręce anglosaskiej dyplomacji; dyplomacji pomocy dla Niemiec, dyplomacji wskrzeszenia ciężkiego przemysłu IV Rzeszy przez węgiel śląski i porty nadbałtyckie.

Nie mają wreszcie prawa twierdzić, że „uczynią wszelkie wysiłki dla stabilizacji stosunków i pokoju wewnętrznego w państwie", ci, za którymi stoi „las" — młody złoczyńca ze Stenem w ręku i z wiadomą legitymacją w kieszeni. Cóż o tym powiedzą wyborcy? Czytelnicy sprawozdań z procesów o mordy? Słuchacze wezwań do sabotażów? Do „nieobecności?"

Wiem, co powiedzą niektórzy. Ci, dla których poświęcono punkt szósty posępnej, haniebnej odezwy; punkt, który brzmi: „W interesie szybkiego ogólnego rozwoju gospodarczego winniśmy zapewnić inicjatywie prywatnej opiekę i poparcie Zagwarantować jej nienaruszalność własności i sprawiedliwy wymiar świadczeń publicznych". Ci „podopieczni" PSL-u od „Simona" powiedzą na pewno: „Byczo jest".

A inni?

PSL popełnia stary błąd wstecznictwa. Buduje swój program na wierze w naiwność ludu.

Błąd ten sprawiał już nieraz, że lud karał złych znawców jego psychologii.

Przeczuł to niegdyś —
Kandyd.

O socjalistycznym humaniźmie

Związek Niezależnej Młodzieży socjalistycznej (Akademickiej). Historia „Ideologia". Zadania. Warszawa 1946, Str. 95.

Interesująca broszura jest publicznym wystąpieniem odrodzonego Z. N. M. S. Zgodnie z tytułem zawiera ona rys historyczny, sformułowanie zadań i celów organizacyjno-ideowych oraz próbę określenia własnej postawy socjalistycznej. Próba ta znalazła wyraz przede wszystkim w rozprawce J. Strzeleckiego pt. **„O socjalistycznym humaniźmie"**. Tej rozprawce chciałbym poświęcić kilka uwag czysto teoretycznych, jakie nasuwają się obserwatorowi przejawów późnych tendencyj kulturalnych — nie tykając spraw konsekwencyj jakie wynikają ze sformułowań Strzeleckiego i przyjętych przez niego założeń, dla teorii socjalizmu i praktyki politycznego ruchu socjalistycznego.

Pisząc o różnych poglądach mieniących się humanizmami, przy omawianiu humanizmu socjalistycznego reprezentowanego przez Hochfelda („Kuźnica" nr 43) wskazywałem źródła tych poglądów. Wywodzą się one nie tyle z humanizmu w ścisłym tego słowa znaczeniu, ile z idei ludzkości (humanitas) i w okół niej skupionego prądu etycznego oraz praktycznego humanizmu. Humanizm Strzeleckiego wywodzi się między innymi z tego źródła. Jest on próbą „Etyzacji" socjalizmu, podporządkowania idei socjalizmu idei „człowieczeństwa".

Nie jest to tendencja nowa. **Ludwik Stein** w książce „Die Soziale Frage" (II wyd. 1903), stwierdza, że socjalizm jest zagadnieniem moralnym i kulturalnym. „Socjalizm — pisze on — musi otrzymać zwrot religijno-etyczny, jeżeli ma rozwiązać rzeczywisty problem kulturalny... albo stanie się etyczny albo zniknie" (Str. 12). To jest jeden przykład z wielu. Co składa się na „treść" terminu „socjalizm", jeżeli chcemy uwzględnić wszystkie przemiany znaczeniowe, jakie przeszedł od 1832 r., kiedy zjawił się po raz pierwszy. Strzelecki cytuje w swoim artykule **Encyklopedię Nauk Społecznych**, wydaną przez **Seligmana**, gdzie „treść" socjalizmu zostaje określona następująco: 1) potępienie istniejącego porządku politycznego i społecznego jako niesprawiedliwego; 2) głoszenie nowego porządku [illegible] wartościami moralnymi; 3) wiara, że ten [illegible] pozwala się zrealizować; [illegible] że niemoralność istniejącego [illegible] sprowadza się do stałej [illegible] lub niezmiennej natury człowieka [illegible] stałych instytucyj; 5) program działania prowadzący do ideału przez podstawowe przekształcenie natury ludzkiej lub istniejących instytucyj lub też obu; 6) rewolucyjna wola przeprowadzenia tego programu. „Nie można dostatecznie podkreślić faktu — czytamy w Encyklopedii — że żaden prawdziwy socjalista nie zadowoli się tylko ekonomicznymi reformami, lecz domaga się również odrębnej polityki wychowawczej, etycznej i estetycznej".

Różne kierunki i prądy w ruchu socjalistycznym na przestrzeni minionego stulecia, kładły nacisk na różne elementy. Tendencja zarysowana w rozprawie Strzeleckiego charakteryzuje się: 1) odwróceniem od materializmu historycznego i dialektyki; 2) tendencjami psychologizującymi; 3) położeniem nacisku na czynniki etyczne w ideologii socjalistycznej; 4) przyjęciem jako ideału etycznego idei człowieczeństwa (ludzkości) w indywidualistycznej interpretacji.

Strzelecki pisze: „Spojrzenie na ruch od strony motywów i przeżyć uczestniczących ludzi nazwaliśmy humanistycznym. Z tego punktu widzenia trzeba by napisać niemal na nowo całą historię socjalizmu i historię ruchu robotniczego. Jej przedmiotem było by **studium przemian zachodzących w ludziach, w ich świadomości i obyczajach** (podkreślenie moje) — a nie tylko studium gospodarczych przekształceń. Przyczyniła by się może do osłabienia pokutujących jeszcze przekonań, że człowiek jest czymś w rodzaju tabula rasa, na której „proces dziejowy" wyzyskuje bez szkody każdy pożądany przez jego przodków kształt" (Str. 52). Autor dotyka tu podstawowych założeń materializmu historycznego: definicji człowieka i zagadnienia natury procesów psychologicznych. Jeśli rzeczywiście przemiany „świadomości" i obyczajów można opisać w sposób dostateczny nie uwzględniając opisu przemian gospodarczych — to tylko przy założeniu autonomiczności procesów psychologicznych. Sądzę jednak, że autor nie miał na myśli tak daleko sięgających wniosków, a sformułowania powyższe są wynikiem temperamentu pisarskiego. Chodziło mu raczej o zwalczanie swoistej wielu wulgaryzatorom wiary w „podświadome" wyznaczanie zachowań ludzkich przez warunki gospodarcze. Strzeleckiemu chodzi tu — zdaje się — o zwrócenie uwagi na ten mechanizm wyznaczania, w którym — jego zdaniem — grają pierwszorzędną rolę i właściwości indywidualne człowieka. To podkreślenie doniosłości indywidualnych cech osobowych wyraża się w następujących zdaniach: „Spojrzenie od strony humanistycznej ukazuje socjalizm jako sprawę ludzką. W dwojakim znaczeniu. Przede wszystkim na pierwszy plan wysuwają się w tym ujęciu ludzie, ich dążności, postawa wobec różnych wartości życia, rozwój ich wyobrażeń i myśli. Procesy gospodarcze spadają do roli jednego, najważniejszego być może, z czynników, poprzez które kultura nadaje człowiekowi jego ostateczny historyczny kształt. Po wtóre, zrozumienie różnorodności dróg, różnorodności motywów łączących poszczególnych ludzi z ruchem socjalistycznym, wytwarza świadomość, że ulegania naciskowi społeczno-gospodarczych kategorii nie jest ostatnim słowem człowieka. W osobowym, nie w społeczno-historycznym przekroju, ostateczne słowo może należeć do sił — powiedzmy za Bergsonem — otwartej moralności, sił twórczego rozwoju ludzkiej osobowości. Socjalizm ujęty jako wyraz działania tych sił staje się więc nie tylko „wyzwoleniem proletariatu" (niech tylko nikt nie sądzi, że to by nam nie wystarczało), lecz wyzwalaniem się ludzi spod władzy bezosobowych, społeczno-gospodarczych kategorii" (Str. 53).

To jest ton zasadniczy rozprawki Strzeleckiego. Z niego wynika i dążność do „humanizacji środowiska pracy" i krytyka kultury mieszczańskiej i wreszcie atak przeciwko „wyższej" moralności. Stosunki oparte na zasadzie „wyższej" moralności posiadają — zdaniem autora — cztery cechy: „1) Użyteczność widziana oczami politycznej elity, jest miarą wszelkiej wartości; 2) Istnieje ścisły przestrzegany podział na „swoich" i „obcych" i płynące z niego zasady postępowania; 3) Występuje jako nieuchronne zastępstwo, zanik stosunków nie mających charakteru instrumentalnego. Dochodzi do nich cecha czwarta. Jest nią dążność do usunięcia autorytetu ludzi bezstronnych, związanych w swym poczuciu odpowiedzialności z istnieniem wartości moralnych, wspólnych ludziom obu stron (stronica 58).

Tak zwana wyższa moralność jest cechą ruchów politycznych. Wszak polityka nie jest niczym innym jak operowaniem elementami siły ze względu na dany cel. Celem politycznym jest zdobycie mocy stanowienia o innych, stąd cel ten dopuszcza i usprawiedliwia wszelkie środki już niejako z samej swojej natury.

Niektóre momenty rozprawki Strzeleckiego, trzeba — wydaje mi się — interpretować jako próbę przeciwstawienia się dążnościom do wyłącznego ujmowania socjalizmu i wprowadzenia do niego kryteriów politycznych, jako jedynych. Tak rozumiem zwrot Strzeleckiego (bardzo niejasny zresztą) o wyzwalaniu ludzi spod władzy bezosobowych kategoryj. Autorowi chodzi tu o to, by automatycznie działający mechanizm gospodarczy kapitalizmu nie został zastąpiony równie bezdusznym automatem politycznym. To właśnie przezwyciężenie „pokusy" wyższej moralności na terenie socjalizmu, ma ułatwić spojrzenie na socjalizm jako na sprawę ludzką, ma ułatwić ideał człowieczeństwa.

Rozprawka Strzeleckiego porusza rozległy zakres zagadnień, o podstawowej doniosłości dla teorii socjalizmu. Idee, w niej przedstawione sięgają nieraz dalekiej przeszłości. Wszak powiedział Saint-Simon: „Całe moje życie skupia się w jednej myśli: Zapewnić wszystkim ludziom najswobodniejszy rozwój ich zdolności". Lecz z większą mocą pojawiły się na przełomie XIX i XX wieku. Może najlepszą ich charakterystykę dała **Z. Daszyńska-Golińska** w książce pt. **„Przełom w socjaliźmie"** (Lwów 1900), pisząc: „Wysuwanie zagadnień etycznych na plan pierwszy świadczy, że socjalizm staje się nie tylko praktycznym dążeniem do władzy i ekonomicznego przeobrażenia, ale systemem filozoficznym... Charakterystycznym jest, że dążenie to przejawia najwcześniej socjalizm angielski, w którym teoria socjalistyczna rozwija się niezależnie od ruchu robotniczego".

Walczący ruch robotniczy skupiał uwagę przede wszystkim na sprawach związanych z walką, na sprawach taktyki i narzędzi walki. Strzeleckiemu chodzi o wykorzystanie koncepcji etyczno-filozoficznych przez ruch robotniczy w tej chwili, kiedy dochodzi do władzy, kiedy sprawy taktyki i walki nie są naczelnymi, a na czoło wysuwają się sprawy realizacji. Głos w tej sprawie należy do tych, którzy tworzą linię wytyczne realizacji. Nad dążeniami tego typu powinna się rozwinąć szeroka dyskusja.

Jan Szczepański

TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

dokończenie ze stronicy 4-tej

polita Taine'a, Spencera, angielskich historiozofów i filozofów. Nie brakło w tym okresie oddziaływań niemieckich, ale mają one bodaj charakter drugorzędny. W okresie „Młodej Polski" obraz zaciera się zasadniczo. Jeśli w kołach filozoficznych odbywa się pewien nawrót do Kanta, to szerokie sfery intelektualne artystyczne pozostają pod urokiem Schopenhauera i Nietzschego. Późny dziedzic klasycznej filozofii niemieckiej, jako pisarz przewyższający zresztą poprzedników, Schopenhauer ze swym arystokratyzmem mieszczańskim, estetyzmem, pesymizmem stał się natchnieniem ówczesnych schyłkowców. Przyczynił się do rozprzestrzenienia wielu ówczesnych mód intelektualnych. Przewyższał go jednak wpływem Fryderyk Nietzsche, powtarzany, cytowany, uwielbiany nieskończenie.

Jedną z największych imprez wydawniczych okresu stanowi polskie wydanie dzieł filozofa w przekładzie świetnych piór współczesnych. Nietzscheańska problematyka, nietzscheańska terminologia filozoficzna i estetyczna panują, są na ustach wszystkich.

„Młoda Polska", zwłaszcza jej środowisko krakowskie, daje obraz wielkiego nasilenia nie tylko wpływów niemieckich, ale i skandynawskich. Autorzy skandynawscy przechodzili jednak przez filtr berliński, zresztą ich problematyka w znacznej mierze zaostrzała, pryncypializowała zasadnicze nastawienie wyniesione z Niemiec. Uzupełniało to wpływy historyczne wcześniejsze.

Przy wielkiej wrażliwości Boya ówczesna atmosfera fascynowała go wewnętrznie więcej, niż to widać w jego pismach. Był to okres szczególnie silnej infiltracji kierunków irracjonalnych, „odkrywano" właśnie towiańszczyznę i cały okres mistyczny późnego romantyzmu. — Odnowiony Słowacki — mistyk miał charakter rewelacji poetyckiej. Boy przeżywał to wszystko intensywnie — ale te końskie zaiste

Wiatr nad Krakowem
(rys. Iwo Gall, z Abdery)

dawki irracjonalizmu, wchłaniane w młodości, budziły w jego umyśle gwałtowny odpór — który wyładował się częściowo w parodiach i grotesce „Słówek". Zarazem wielkie sprzeczności, antagonizmy wewnętrzne czasu dojrzewały w nim w sposób wielce swoisty.

Bądź co bądź, ówczesny rozkwit neoromantyzmu stanowił objaw raczej sztuczny, zwycięstwo nad prądami pozytywistycznymi miało się okazać pozorne. Grunt społeczny był podminowany równoczesnymi postępami materializmu historycznego w szerokich masach. Początkowo modernę ówczesną traktowano jako dekadencję — potem wyłoniły się z pierwotnej plątaniny czyniki konstrukcyjne o nierównej trwałości historycznej.

Dla Boya walka prądów zagęściła się w antagonizmy kultur. Z tego punktu widzenia jego kampania przekładowa nabiera niewątpliwie swoistej dramatyczności — co nie zawsze rozumieli współcześni. Ten czynnik walki tłumaczy osobliwy patos wkładany w pracę tłumaczeniową przez Boya, uwydatniony w przedmowach i komentarzach.

A. Stawar

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA"

POWIEŚĆ I NOWELA

LOUIS ARAGON
Wielkość i niewola Francji
zł 150.–

KAZIMIERZ BRANDYS
Miasto niepokonane
zł 220.–

I. ERENBURG
Upadek Paryża
zł 300.–

JAN KOTT
Po prostu
zł 300.–

JÓZEF MORTON
Inkluzowe wiano
zł 280.–

S. KLIMCZAK
Od Oki do Szprewy
zł 210.–

JAN PAPUGA
Szczury morskie
zł 200.–

WANDA ŻÓŁKIEWSKA
Kobiety z Limbach
zł 120.–

» K S I Ą Ż K A «

Władysław Rymkiewicz

Nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", ukazał się tom opowiadań Władysława Rymkiewicza „Rafał z lasu". Tytułowa nowela była nagrodzona na konkursie „Głosu Ludu". Fragment noweli „Obowiązek" i opowiadanie „Resztówka" drukowaliśmy w naszym piśmie.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„KSIĄŻKA"

WYDAWNICTWA NAUKOWE
I POPULARNO - NAUKOWE

JAN DĘBOWSKI
Psychologia małp
zł 270.–

C. KUREK-KOJRAŃSKI
Od słońca do dynamomaszyny
zł 65.–

PAWEŁ LANGEVIN
Era przemian
zł 15.–

„KSIĄŻKA"

PRZEGLĄD PRASY

Od wielu tygodni rozlega się z łamów dodatku literackiego pewnego pisma dla wszystkich dyrygowany przez zaślepienie i polityczną nienawiść chór, potępiający wszelki wysiłek kulturalny i wszelkie utwory artystyczne, jeśli zostały one stworzone przez pisarzy wrogiego wobec PSL obozu. W tym chórze, obok piskliwego sopranu p. Jana Szczawieja szlachetnego tenoru p. T. B. Sygi, rozróżniamy nie bez uciechy ochrypły, przypominający głos brzuchomówcy, bas, p. Stanisława Dzikowskiego. Brzuchomówcy dlatego — że p. Dzikowski co innego zapewne myśli, a co innego pisze, zwłaszcza wtedy, gdy udziela pisarzom nauk, jak powinni pisać, by się to spodobało w ZSRR. To niepowołane mentorstwo publicysty gazety dla wszystkich nie budziłoby mojego większego zainteresowania i pozostałoby prawdopodobnie poza obrębem tej kroniki, która niestety nie może omawiać treści dodatków literackich do gazet codziennych gdyby nie natręctwo z jakim ów publicysta udziela rad. Traktując ten kilka razy w tygodniu ukazujący się dodatek w piśmie dla wszystkich jako jedyny organ literacki P.S.L.-u, sądziłem już, że stronnictwo, dysponując jedynie piórami tych trzech czołowych swoich publicystów, całkowicie porzuciło myśl poważnego dyskutowania o sprawach literatury. Co więcej — że członkowie stronnictwa, czytając swój organ partyjny, na zawsze będą już uwięzieni w kręgu, nie wiele mających wspólnego ze sprawami sztuki, poglądów pp. Dzikowskiego, Sygi i Szczawieja. Ta maniera wyrzekania, te nietrafiające w cel złośliwości, to wyszukiwanie dziury w całym, podkreślenie cieniów tam, gdzie są również blaski, ta niechęć wreszcie do formułowania własnych opinii i kontentowanie się staropolskim stwierdzeniem, że nie tak illo tempore bywało — to wszystko zostało żywcem przeniesione na kolumny dodatku literackiego w piśmie dla wszystkich wprost z kolumny pierwszej tego pisma, gdzie zazwyczaj redakcja zamieszcza artykuły wstępne, traktujące o najważniejszych problemach życia narodowego...

Na szczęście trzej publicyści literaccy tego pisma dla wszystkich nie zdołali przekonać nikogo o tym, że literatura nasza chyli się ku upadkowi. Nie zdołali przekonać o tym nie tylko swoich przeciwników, ale tym pesymistycznym sądom nie uległa nawet redakcja „Chłopskiego Sztandaru", teoretycznego organu PSL. Oto w nr 49 tego pisma znalazłem artykuł Barbary Matus p.t. „Polityka i kultura". Napisany prostym i jasnym stylem nadaje się doskonale jako wzór rozsądku dla publicystów literackich pisma dla wszystkich. Autorka ujmuje w tym krótkim artykule sprawę popularyzacji literatury pięknej i wskazuje powieść jako instrument wzbogacenia i pogłębienia wiedzy w środowiskach wiejskich o rzeczywistym układzie sił w otaczającym nas świecie. Wiążąc słusznie zagadnienie kultury z zagadnieniem polityki, autorka stwierdza, że powieść artystyczna często odsłania właśnie ukryte motory politycznej akcji.

Artykuł wskazuje czytelnikom kilka pozycji artystycznych w których sprawy polityki są zasadniczą treścią. Proponując środowisku chłopskiemu powieść jako ważny czynnik oświatowy, wymienia autorka kilka utworów przykładowych. Ale pomyli się ten, kto by pomyślał, że w tym przypadkowym zresztą spisie figurują takie nazwiska: jak Stanisław Dzikowski, Jan Szczawiej lub T. B. Syga, naczelni wodzowie literaccy stronnictwa. Pominięcie dwóch ostatnich jest zrozumiałe: jeden jest poetą, drugi publicystą. A pominięcie p. Dzikowskiego, który bywał powieściopisarzem przynosi zaszczyt i smakowi i obiektywizmowi autorki artykułu. Znamy bowiem te powieści.

Porzucając żarty, chciałbym tylko stwierdzić, że sens społeczny artykułu Barbary Matus, gdzie autorka daje m. inn. pozytywną i trafną, choć pobieżną ocenę kilku utworów powieściowych polskich i obcych, jako tych, które mogą wpłynąć na pogłębienie wiedzy na wsi, jest w przeciwieństwie do społecznego sensu akcji prowadzonej w zaślepieniu przez trzech publicystów w piśmie dla wszystkich, pozytywny. Z tym większą satysfakcją mogę też zwrócić uwagę moich czytelników na ten skromny artykuł, że wydrukował go właśnie „Chłopski Sztandar" — pismo stojące politycznie i ideowo po przeciwległej stronie barykady.

Wielokrotnie i obszernie dyskutowana w prasie literackiej i społecznej sprawa kultury ludowej została wreszcie trafnie ujęta i sformułowana w artykule Anny Kamieńskiej w nr 47 „Wsi". Kamieńska, uwzględniając dotychczasowe położenie warstwy chłopskiej oraz zdając sobie sprawę z perspektyw jakie tej warstwie otwiera ustrój społeczny dzisiejszej Polski, oparty między innymi na zasadniczych zmianach struktury ekonomicznej dokonanych w wyniku przeprowadzenia reformy rolnej, stwierdza: nie ma kultury ludowej. Sądzę, że słuszniej i bardziej rzeczowo byłoby stwierdzić: nie będzie kultury ludowej, będzie tylko kultura narodowa. Ale ta poprawka dotyczy raczej stylistyki, autorka bowiem przeprowadza swoją myśl właśnie po linii takiej oceny rzeczywistości, która implikuje los dziś istniejącej jeszcze kultury ludowej. „Uprzemysłowienie wsi — pisze Kamieńska — unowocześnienie środków produkcji i jej organizacji, wzrost oświaty powszechnej odbierze wsi resztki odrębności form jej życia. Kto dziś rozprawia o kulturze ludowej, jako wytworze i własności ludu — ten odmawia ludowi prawa do książki, łazienki i wolnego czasu. W jego interesie leży zachowanie wsi na tym stopniu kultury, na jakim znajduje się obecnie". Kamieńska zbija trafnie argumenty konserwatorów słomianej strzechy i fujarki pastuszka i wykazuje, że przy wciąż rozwijającym się postępie wiedzy i techniki, wobec wzrastającej świadomości ludności wiejskiej która korzysta dziś coraz obficiej i z tych zdobyczy i z instytucji powszechnego nauczania, mistyczna zależność chłopa od natury jest żadna. Istotnie, wiemy dziś dobrze, że kulturalny regionalizm jest albo zabawą pięknoduchów, albo, co zdarza się częściej, nieodłączną częścią programu politycznego o bardzo wstecznych tendencjach.

Niesłusznym natomiast w artykule Kamieńskiej („Myśli o kulturze ludowej") wydaje mi się stwierdzenie, że „wszystkie te cechy, które odróżniają grupę wiejską od podobnej grupy robotniczej czy inteligenckiej — są uwarunkowane przez stopień rozwoju umysłowego". W mieście łatwo bowiem znaleźć taką samą ilość ludzi ograniczonych jak na wsi — różnica cech grupy wiejskiej i grupy miejskiej polega jedynie na malejącej nieustannie w perspektywie historycznego rozwoju tej właśnie różnicy w środkach produkcji, którą tak trafnie uznała Kamieńska na początku swego artykułu za zasadniczą przyczynę istnienia pozostałości dawnego ustroju gospodarczego: autonomicznej kultury ludowej.

Przejdźmy z kolei do omówienia pism poświęconych sprawom teatralnym. Pism takich mamy obecnie w Polsce aż trzy: miesięcznik „Teatr", miesięcznik „Listy z Teatru" i wydawana przez Państwowy Teatr Wojska Polskiego „Łódź Teatralna".

„Teatr", którego pojawienie się sygnalizowałem przed kilku miesiącami w mojej kronice, nie spełnił niestety pokładanych w nim nadziei. Obszerny, doskonale wydany Nr 5, powtarza błędy swoich czterech poprzedników. „Teatr" cierpi na brak zasadniczych artykułów o sprawach teatralnych i tego braku nie jest w stanie zastąpić nawet przez udostępnienie czytelnikom ciekawych materiałów, dotyczących obrad i dyskusji toczonych na posiedzeniach Rady Teatralnej. „Teatr" jakgdyby rezygnował z tych ambicji, które powinien realizować, jako jedyne, obszerne i wydawane z zasiłku Ministerstwa Kultury i Sztuki pismo poświęcone sprawom teatru. Dobór artykułów w nr 5 raz jeszcze potwierdza to mniemanie. Mamy tu materiał dobrany przypadkowo i albo zupełnie oderwany, jak artykuł o Lorentowiczu, albo też pośpiesznie aktualizowany, jak artykuł Rulikowskiego: „Szekspir na ziemiach polskich". Ten artykuł zresztą zawiera niezmiernie cenną bibliografię i zestawienie chronologiczne szekspirowskich premier w Polsce. Nie wydaje mi się również, by wywiad z dyrektorem Szyfmanem, w tej formie w jakiej zamieszczono go w Nr 5 „Teatru", powinien był znaleźć się na łamach poważnego miesięcznika. Wywiad przeprowadzony w tej formie nadaje się wyłącznie dla prasy codziennej. Tam spełniłby swoje zadanie, w miesięczniku razi swoją prymitywnością. Na dodatnie konto „Teatru" należy zapisać ankietę: O nową recenzję teatralną, oraz pomysłowe zestawienie wypowiedzi autora sztuki i reżysera. W Nr 5 o „Penelopie" mówi autor — L. H. Morstin i reżyser — Marian Wyrzykowski. Głównym zarzutem wobec „Teatru" byłoby więc to, że zaniedbuje on artykuły teoretyczne na rzecz aktualności. Pozatem uderza również i to, że ośrodkiem zainteresowania „Teatru" jest teatralna Warszawa. Pozostałe ośrodki potraktowano po macoszemu, omawiając ich działalność w kronice.

O wiele żywiej, mniej akademicko i oficjalnie redagowane „Listy z Teatru", wydawane w Krakowie, przynoszą materiał obfitszy i dają pełniejszy obraz spraw teatralnych w Polsce. W Nr 6 znajdujemy m. in. A. E. Balickiego „Wspomnienia o „Weselu". O artystycznym teatrze francuskim pisze T. Kudliński (Nr 5, Nr 6). Niezawsze zgadzam się z sądami Kudlińskiego, ale z punktu widzenia informacji artykuł ten spełnia swoje zadanie — czytelnik wynosi z tej lektury pojęcie o dzisiejszym stanie francuskiego teatru. Felieton Świnarskiego, zamieszczony w tym samym numerze pisma (Z „Balladyną" na Zaolziu") zyskałby wiele, gdyby ograniczył się do spraw teatru; dodatkowe informacje o fryzjerze i restauracjach w Cieszynie chętniebym przeczytał, ale już w innym bardziej popularnym piśmie. Na szczególne podkreślenie zasługuje w „Listach z Teatru" dział kroniki zagranicznej, szeroko informujący czytelnika o wydarzeniach teatralnych Francji, Anglii, Niemiec, i Szwajcarii. W sumie — „Listy z Teatru" należycie legitymują swoje istnienie.

Wreszcie „Łódź Teatralna". Jest to jakby się mogło zdawać raczej obszerny program Teatru Państwowego w Łodzi. Ale sąd taki, powierzchowny i chwilowy, zmienia się po przejrzeniu treści numerów. Numery te (2 i 3) są komponowane coprawda wokół spraw związanych bezpośrednio z działalnością Teatru Państwowego w Łodzi. Ale treść ich jest tak bogata, że pismo to na tle pozostałych dwóch pism spełnia rolę bardzo wybitną. Zawiera bowiem artykuły fachowe i teoretyczne, których brak podkreślałem przy omawianiu „Teatru". Poziom tych artykułów jest wysoki. Nr 2 poświęcono z okazji jubileuszu Aleksandra Zelwerowicza — pracy aktorskiej i pedagogicznej tego świetnego artysty, a wobec premiery „Pana Damazego" omówiono również w kilku [illegible] artykułach znaczenie tej sztuki. W [illegible] łów o Zelwerowiczu zwraca [illegible] uwagę artykuł Leona Schillera. W [illegible] z „Panem Damazym" Stefan Żółkiewski zamieszcza „Parę uwag o [illegible] skim", które klasyfikuje świetną komedię Bliźińskiego w ramach rzeczywistości lat dziewięćdziesiątych. Kolejny (3) numer „Łódzi Teatralnej" został w całości poświęcony „Krakowiakom i Górralom", Bogusławskiego. Mamy tu artykuł o autorze „Cudu mniemanego", pióra Leona Schillera, artykuł Sreniowskiego, malujący historyczne tło widowiska („Insurekcja 1794"). Karol Stromenger pisze o kompozytorze Stefanim, który stworzył muzykę do „Cudu mniemanego".

W tym samym numerze znajdujemy omówienie postaci i dzieła J. U. Niemcewicza z okazji premiery „Powrotu posła" oraz przedruk tekstu obu przedmów Niemcewicza do tego utworu „Łódź Teatralna" wybrała najszczęśliwszy sposób aktualizacji. W związku z premierą sztuk daje lekturę poważną i na wysokim poziomie starając się wyczerpać problematykę związaną z wystawianym utworem.

W sumie wydaje mi się, że połączenie zalet tych trzech omówionych przeze mnie pism poświęconych teatrowi przy jednoczesnym usunięciu ich wad, dałoby nam pismo prawdziwie poważne i mogące mieć wpływ na całość spraw teatralnych w kraju.

ph.

KORESPONDENCJE

Do

Redakcji „Kuźnicy"

w Łodzi

Nota p. rkm. pt. „Przekłady z Błoka" zamieszczona w nrze 47 „Kuźnicy" zawiera pewne nieścisłości i mylne sądy, które wymagają sprostowania.

1) Zeszyt 8/10 „Kameny" został wydany z okazji 25-lecia śmierci Błoka, którego p. rkm. określa jako symbolistę rosyjskiego. „Symbolista" — owszem, ale termin ten „zaciemnia raczej obraz poety", bo nadaje się głównie do Błoka, jako twórcy inkrymynowanych przez p. rkm. utworów „restauracyjno-mistycznych". Ale Błok — autor wierszy pisanych po r. 1905 (cykl „Ojczyzna", utwór „Nowa Ameryka", poemat „Odwet", a nawet „Dwunastu") — to jednak raczej realista. Ponieważ „Kamena" jest pismem ściśle literackim, a właściwie poetyckim, nie mogła więc pominąć utworów wcześniejszych poety, gdyż chodziło o obraz całego Błoka. W „Kuźnicy" np., która niewątpliwie uczci jeszcze poetę, „który był sumieniem inteligencji rosyjskiej z okresu przed rewolucją październikową", powinny być uwzględnione wyłącznie te utwory, o które chodzi p. rkm., a których zresztą nie zabrakło i w „Kamenie".

2) Przewaga przekładów K. A. Jaworskiego nie wynikła stąd, że chciał on się „ukazać w najpełniejszym świetle jako tłumacz, ale dlatego, że chciał w „najpełniejszym świetle" ukazać Błoka: redakcja mogła zdobyć niewiele tłumaczeń, choć sięgnęła nawet do spuścizny Czechowicza, Denhoffa, Czarnockiego, Lieberta i spolszczeń nieobecnych Łobodowskiego, Wierzyńskiego i Lechonia. Cóż poradzić na to, że Jaworski jest „płodnym" tłumaczem — to też musiał uciec się do własnych zasobów („Wiersze o pięknej pani", „Rozdroża", „Śnieżna maska"), innych bowiem przekładów, jeśli chodzi o te cykle, w ogóle nie mamy.

3) Tłumaczenie „Kroków Komandora" jako utwór poetycki Lieberta jest wspaniałe. Jaworski umieszczając obok swój skromny przekład popełnił „krok co najmniej niezręczny" (a co najwięcej — chyba bezczelny, p. rkm.?), nie z chęci „popisywania się", ale dlatego, że jednak jego tłumaczenie jest wierniejsze. „Aby uniknąć gołosłowności": w rosyjskim tekście „Anna, Anna, sładko-i spat' w mogile? Sładko-i widiet' nie ziemnyje sny?"; Liebert tłumaczy to: „Anno, Anno, słodkież lekkież sny pod ziemią? Co oglądasz, powiedz, w tych snach?". U Jaworskiego dosłownie: „Anno, Anno, słodko spać w mogile? Słodko mieć nieziemskie sny?". Poza tym rytmika u Jaworskiego jest bardziej zbliżona do oryginału i zachowana jest podobna kolejność żeńskich i męskich rymów. A gdyby nawet Jaworski chciał się w swej pysze mierzyć z Liebertem, czyż nie można mu tej ludzkiej słabości wybaczyć?

Tyle o meritum sprawy.

„Uderza tu jednak rzecz inna": na 60 wierszy notatki p. rkm. tylko 24, czyli 40% przypada na właściwą ocenę Błokowskiego numeru „Kameny", a resztę czyli 60% stanowią wycieczki pod adresem K. A. Jaworskiego. Cała notatka p. rkm. nie ma charakteru rzeczowej, obiektywnej krytyki, ale nacechowana jest wyraźną złośliwością w stosunku do redaktora „Kameny". To obliczanie przekładów i procentu, jaki przypada na przekłady Jaworskiego, nota bene mylne: w „Kamenie" jest 75 utworów Błoka (nie 84), a jeśli wliczyć poszczególne części „Tańca śmierci", jako że są tłumaczone i przez Pollaka, wypadnie 79. Z tego przekładów Jaworskiego 46 (nie 52), a więc 58 i 1/4%, nie 65%, jak chce p. rkm., który i tu popełnia błąd arytmetyczny, bo 52 na 84 dałoby dokładnie 62 i 1/7%; p. rkm, aby bardziej zdruzgotać redaktora „Kameny", zaokrąglił do 65%.

Jak to powiedział Lermontow? „Wszystko to byłoby wesołe, gdyby nie było takie smutne". Smutne, że oceny krytyczne zaczynają się u nas sprowadzać do błędneoo rozwiązywania zadań arytmetycznych na procenty.

Kazimierz Andrzej Jaworski

Chełm Lub., 28.11. 1946.

Kraków, 27 listopada 1946.

Do

Redakcji „Kuźnicy"

Bystremu skądinąd obserwatorowi życia krakowskiego, Stefanowi Otwinowskiemu zdarzyło się przeoczyć to i owo na wystawie młodych plastyków krakowskich. Zafrapowany „Handlarzem ryb" Mikulskiego, nie zauważył np. (tak mi się zdaje) „Mało mieszczanki" i „Kobiety z malowanymi ustami" Nowosielskiego. Nie jestem pewien, czy materiału do tych obrazów dostarczył malarzowi Noworolski. O ile znam Nowosielskiego, to na studia kawiarniane brakuje mu czasu i środków. Być może, że wystarczyły w tym wypadku krakowskie, niedzielne planty. Oczywiste jest dla mnie natomiast, skąd czerpał temat Kantor do swej „Praczki" czy „Sprzedających" albo Brzozowski do „Wagonu" — nie z kawiarni. Nie mniej coś z „analizy otoczenia" znalazłoby się tam chyba przy mniej roztargnionej postawie obserwatora.

Zawsze wydawał mi się nienaturalny brak trwałego zainteresowania artystów z jednego podwórka sztuki tym, co się dzieje na podwórkach innych. Rozbrajające przyznawanie się do dyletantyzmu w tych wypadkach trochę irytuje. Gdyby Stefan Otwinowski, patron młodych krakowskich literatów, zajął się młodym krakowskim malarstwem nieco wcześniej, nie twierdziłby może, że „dopiero trzeba było wystawy plastyków francuskich, żeby młodzież krakowska zauważyła możliwość samej artystycznej pracy...". Twierdzenie takie, wygłaszane publicznie, jest krzywdzące dla ludzi, którzy w nienajwygodniejszych warunkach okupacji (albo i jeszcze wcześniej) decydowali swoją postawę artystyczną i społeczną.

Mieczysław Porębski

TREŚĆ NR 49

Stefan Żółkiewski — **Komentarz.** Hanna Kulągowska — **Oblicze współczesnej młodzieży.** Jerzy Piórkowski — **Samotność.** Bohdan Czeszko — **W marszu.** Tadeusz Borowski — **Bitwa pod Grunwaldem.** Mariusz Margal — **Klęska De Gaulle'a.** Tadeusz Borowski — **W oczach i uszach Courts-Mahlerowej.** Lech Budrecki — **Książki mojego pokolenia.** Wiktor Woroszylski — **Książka o „Niewinności" hitlerowskich oficerów.** Kandyd — **Tak toczy się światek. Noty.** — **Wiersze.** Maria Castellatti. Mieczysława Buczkówna. Roman Kamiński. Jacek Bocheński. Helena Jaworska. Tadeusz Sokół. Tadeusz Kubiak. Krzysztof Gruszczyński. Anna Pogonowska. Stanisław Marczak - Oborski. Anna Kamieńska. Andrzej Braun. Jerzy E. Miller. Wiktor Woroszylski. Jules Supervielle (tłum. Ewa Fiszer). Ewa Fiszer.

Noty

Denazyfikacja

Bawarskie Ministerstwo Komunikacji ogłosiło, że z dniem 1 grudnia został wstrzymany przydział benzyny dla byłych członków partii hitlerowskiej — do ich samochodów.

Bardzo ładnie. Najważniejszy jest porządek. Należy wobec tego oczekiwać, że w trzecim roku denazyfikacji w strefie anglosaskiej odebrane zostaną hitlerowcom limuzyny. W czwartym roku domki z ogródkami. A w piątym fabryki.

Nie wierzycie? Ja też nie wierzę. **jk**

Gwiazdka dla jeńców niemieckich w Anglii

Minister spraw wojskowych Bellenger oświadczył w Izbie Gmin, iż dobrze sprawujący się jeńcy niemieccy będą mogli podczas świąt Bożego Narodzenia swobodnie wychodzić z obozu, rozmawiać z publicznością i na podstawie specjalnych zezwoleń dowódcy przyjmować zaproszenia do domów angielskich.

Przemówienie ministra zostało — jak podaje Reuter — często przerywane wybuchami ironicznego śmiechu. Bardzo się cieszę, że Anglicy mają poczucie humoru. Zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni. **jk**

Przyczyna głodu

Sytuacja żywnościowa w strefie brytyjskiej pogorszyła się w bardzo poważnym stopniu. Rzeczą zwracającą powszechną uwagę, jest fakt, że położenie takie nastąpiło zaledwie w kilka miesięcy po żniwach i wytłumaczona być może jedynie złośliwym sabotażem ze strony rolników.

Jak pisze „Neues Deutschland", główną przyczyną zła, a co zatem idzie i głodu w strefie brytyjskiej, jest pozostawienie aparatu administracyjnego w rękach faszystów, którzy uczynili wszystko, aby sprzeciwić się reformie rolnej i demokratyzacji wsi. Jako dowód przytacza „Neues Deutschland" fakt, że w strefie wschodniej Niemiec, gdzie reforma rolna została przeprowadzona w sposób radykalny, a panoszących się junkrów usunięto z ziemi, ludność głodu nie zaznała. Natomiast w strefie brytyjskiej, gdzie schroniło się wielu b. hitlerowców i ziemian niemieckich, warunki pod względem wyżywienia są najgorsze. **bs**

Za co mordują?

[illegible] się już niejednokrotnie, że bandy [illegible] katując i mordując chłopów [illegible] tłumaczyły swym ofiarom, że [illegible] uczestnictwo w podziale ziemi dworskiej. Jak dowodzi praktyka „podziemia" natchniona jak wiemy, wzniosłym [illegible] obrony „wolności" i „niepodległości" (WIN), nie tylko przyjęcie ziemi z nadziału reformy rolnej stanowić może w mniemaniu leśnych „rycerzy" podstawę do wydania na kogoś „wyroku skazującego".

W osadzie Uniecko (pow. sierpecki) trzej bandyci przeobrażeni w mundury wojskowe, zamordowali milicjanta Wacława Nowickiego. Przed wykonaniem „wyroku", mordercy oświadczyli Nowickiemu: „Giniesz za to, żeś brał udział w ruchu robotniczym, żeś namawiał ludzi przed referendum, by głosowali trzy razy „tak"!

Po zamordowaniu sześcioma strzałami Nowickiego, bandyci skatowali drugiego milicjanta — Trybuszewskiego, ostrzegając go: Żebyś się nie ważył agitować za blokiem demokratycznym. Ma być tak, jak chce Mikołajczyk, rozumiesz? Tak mają ludzie głosować i tego masz ich uczyć! A w przeciwnym razie też zginiesz!..."

A więc już nie tylko reforma rolna, ale i udział w ruchu robotniczym, lub też agitowanie na rzecz demokracji sprowadzić może na głowę śmiałka „programową" śmierć z ręki leśnych mołojców. Zaś glejtem ochronnym w ich oczach jest legitymacja PSL i takie działanie „jak chce Mikołajczyk"...

Pióro wypada z ręki, wstręt moralny przejmuje dreszczem. Pisać coś więcej, tłumaczyć, dodawać komentarze — po co?... Fakty mówią same za siebie — i wystarczają całkowicie. Linia politycznego podziału zaznacza się w Polsce z wyjątkową jasnością. **bd**

Są i tacy demokraci

Londyński „Times" drukuje w listopadzie następującą korespondencję z Grecji:

„W Grecji przystąpiono do masowych aresztowań nie tylko tych, których podejrzewana o udzielanie pomocy lub należenie do band, ale również wszystkich tych, których polityczne sympatie szły w tym kierunku. Pośród aresztowanych znajdują się nie tylko członkowie organizacji EAM, opanowanej przez komunistów, ale również liberałowie i wydaje się, że władze lokalne mylą słowo republikanin ze słowem komunista.

Środki zastosowane przez ministra Theotokisa polegające na aresztowaniu ludzi za przekonania a nie za popełnione czyny, znajdują pełną aprobatę w kołach brytyjskich i w amerykańskim personelu UNRRY w Macedonii. Tylko najostrzejsza konieczność ocalenia narodowego usprawiedliwia przyjęcie niebezpiecznej zasady.

Druga z zastosowanych metod polega na zamykaniu w obozach koncentracyjnych i deportowaniu rodzin bandytów. Mówię tutaj w obronie tej metody, że możliwość deportacji rodziny jest najsilniejszym środkiem zabezpieczającym, który może podziałać na ewentualnego bandytę.

Z tego co widziałem w więzieniach, zdawałem sobie sprawę, że nawet dziesięcioletnie dzieci mogą być w tych warunkach deportowane. W jednej z najgorszych cel więzienia widziałem chłopca w tym wieku.

Ponieważ mówią wam, że obecny system grecki nie jest demokratyczny, chciałbym na zakończenie dodać, że mnie, jako korespondentowi zagranicznemu udzielono wielkich ułatwień. Pozwolono mi swobodnie zapoznać się z tymi faktami i pozwolono mi o nich swobodnie pisać.

Nie widzę z jakiego powodu system, który mnie na to pozwala, może być nazwany antydemokratyczny.

Tyle ów grecki korespondent **Timesa.** Dla niewierzących w autentyczność, zachowuję w domu wycinek dla przyszłego historyka. Warto bowiem wiedzieć i pamiętać co oznacza słowo demokracja dla korespondenta oficjalnego organu „City". **jk**

Chińska pociecha

Znakomita pisarka, Maria Dąbrowska wygłosiła niedawno odczyt pod tytułem „Chińska pociecha", który jak pisze „Gazeta Ludowa" przyniósł „Głębokie spojrzenie na względność doznań ludzkich w perspektywie historycznej".

Dąbrowska za przykład epoki, dotkniętej nadmiarem zdarzeń historycznych cierpień i okrucieństwa, wzięła okres wojny francusko - pruskiej w latach 1870—1871.

— Cytujemy znakomitą pisarkę za „Gazetą Ludową" —

„W tym okresie wielkiego załamania i miotania się narodu francuskiego, szukającego ratunku w jakichś nowych formach społecznych — od cesarstwa do republiki i od republiki do komuny — zjeżdża do Paryża ambasador chiński.

Zawstydzeni swym własnym zamętem Paryżanie usiłują się przed nim usprawiedliwić, pytają, czy jest bardzo zdziwiony tym, co widzi?

Chińczyk (jak pisze Goncourt), syn najstarszego z żyjących narodów, odpowiedział:

— Ależ nie... ależ nie... Wy jesteście młodzi, wy, ludzie Zachodu, wy nie macie prawie historii. To zawsze tak jest... i oblężenie... i komuna... To zwykłe dzieje ludzkości".

Na marginesie tej „chińskiej pociechy", a może właśnie w duchu jej beznamiętnej, spokojnej mądrości, formułuje Maria Dąbrowska, syntezę swego zamyślenia nad teraźniejszością i przeszłością:

„Mimowoli powtarzamy sobie nie bez żałości, ale i nie bez ulgi: a więc wszystko już było! Nic nowego pod słońcem. Plus ça change, plus c'est la même chose. A świat mimo wszystko istnieje, życie nie traci na wartości, jego wspaniałość i piękno odradzają się wciąż z równą siłą, jak jego nikczemność i brzydota".

Muszę szczerze wyznać, że bardzo mię ta „chińska pociecha" uspokoiła i pocieszyła. Skoro Maria Dąbrowska uważa, że wszystko już było, że nic nowego pod słońcem, że jak zawsze odradza się nikczemność i brzydota a mimo wszystko świat jest piękny i życie wspaniałe, ptaszki ćwierkają i kwitną kwiatki, nie mamy przeciwników. Z całej duszy na to przystajemy. Rzeczywiście kwiatki kwitną z każdą wiosną. Chciałbym tylko, aby „tym duchem beznamiętnej, spokojnej mądrości" przejęła się „Gazeta Ludowa" i Mikołajczyk i NSZ. Wszystko już było. Kwiatki kwitną, grzybki rosną, panowie! Możecie iść na grzybki. **rdc**

„Ofenzywa" — „pisma dla wszystkich"

Ktoś powiedział, że przekłuwanie baniek mydlanych jest równie próżnym zajęciem jak ich puszczanie.

Ale na tym w końcu polega zajęcie autora not.

Przekłujmy bańkę mydlaną!

Od pewnego czasu „Gazeta Ludowa" prowadzi ofenzywę literacką. Dość osobliwą. Ale utrzymaną w ogólnym stylu PSL. Same wyrazy niezadowolenia z postępowego ruchu literackiego. Publicyści „Gazety Ludowej" jak przysłowiowa żaba, która podstawia nogę gdy konia kują — czują się zagrożeni ofenzywą ideologiczną lewicy literackiej. Czy nie za wielkie pretensje Panowie? Uważajcie, bo pękniecie!

Oto w drugim z kolei felietonie szukają pociechy w głęboko mądrej refleksji, iż wszystko już było. Przechodziły burze — a jakoś „prawdziwe wartości" (dorobek) dwóch panów z „pisma dla wszystkich" ostały się. Szczególnie ich cieszy, że „bezowocnie" — mijały ruchy rewolucyjne. Przecież nie zwyciężyła Komuna Paryska — szepcza swoim czytelnikom.

Generał - morderca Galiffet — obronił ład, porządek i prawo. Obronił kulturę. Minie i ten dzisiejszy zamęt rewolucyjny, mina „bez śladu" i te dzisiejsze próby przewrotu umysłowego w Polsce. „Zwycięży generał Anders... pf... przepraszam Galiffet..."

Bieda z tą historią, panowie z „Gazety Ludowej"! Nie douczono Was. Ruchy rewolucyjne, ruchy ludowe od 1917 roku już łatwiej zwyciężają i nie przechodzą tak „bez śladu" jak byście chcieli. Tego jeszcze pod słońcem nie było! To jest inna epoka, epoka zwycięstw proletariatu! Perspektywy historyczne nie są dla was różowe Panowie.

Panowie z „pisma dla wszystkich" skłonni są w toku swojej, „ideowej ofenzywy" lekceważyć krytykę. Sądzą, że dla rozwoju sztuki krytyczna, ideowa refleksja nie ma znaczenia. Że to takie mędrkowanie o sztuce. A trzeba tworzyć „paniedziejski". Krytyka, panowie, zawsze spełniała ważną rolę kulturotwórczą. Nawet w epoce geniuszów. Dość wspomnieć co zrobił dla rozwoju i okrzepnięcia naszego romantyzmu taki Mochnacki. A dziś — ta jedyna w Polsce twórcza, pełna myśli ofenzywa ideowa lewicy, której nie jesteście w stanie przeciwstawić ani jednej idei, dokonywuje się drogą szczególnie świadomego wysiłku. I jej powodzenie zależy od rozmachu, napięcia, bogactwa niepokoju myśli krytycznej. I na szczęście mamy taką myśl! O jej istnieniu mówi i to, że tyle się zajmujecie z takim niepokojem i żarliwością, tym co się pisze w „Kuźnicy". Cieszycie się panowie, że lewica nie ma talentów pisarskich. Że tyle gada o nowej sztuce — a nie tworzy jej! Czyście się urwali z choinki?

Czy strugacie wariatów?

A gdzież są polscy pisarze jak nie po lewicy? Czy nie z nami, lub w pobliżu nas jest prawie wszystko i ze starszej i młodszej generacji, co w ogóle liczy się w polskim słowie dzisiaj?

Chwila przytomności — i bez kantów Panowie! Przejrzyjcie sobie roczniki „Odrodzenia" i „Kuźnicy". To pisma obozu Demokracji, kto w nich pisze jest tak czy inaczej z lewicą związany, z jej ideami, z jej programem politycznym i kulturalnym. Obojętnie co myślicie o Nałkowskiej czy Iwaszkiewiczu, o Boguszewskiej czy Tuwimie, o prozie Andrzejewskiego, Brezy, Brandysa, Dygata, Hertza, Otwinowskiego, Putramenta, Pietaka, Rudnickiego, o pracach krytycznych Kotta czy Stawara. To ludzie z obozu Demokracji tworzą realnie literaturę w kraju. Piszą powieści i opowiadania, tłumaczą obcych autorów, wystawiają sztuki w teatrach, piszą artykuły, wykonują wszystkie prace literackie podyktowane potrzebami współczesnej kultury. Innych nie ma!

Inne prawicowe pismo atakuje i próbuje ośmieszyć piękne wiersze młodej poetki Julii Hartwig. Dlaczego z lawiny grafomanii na szpaltach poetyckich pism wybrano naprawdę pełne talentu i kultury literackiej wiersze jako cel dowcipów? Bo posiadały bardzo wyraźną i aktualną treść polityczną. Trafiały celnie w reakcję...

Kogoż im przeciwstawicie? Nadużyte wielokroć przez was imię Marii Dąbrowskiej? To jedna. A kto jeszcze? Bo Zawieyski jest bardziej nasz — niż Wasz. A któż został z pisarzy prawicy — którzy i tak nie są z Wami, samotni Panowie „z pisma dla wszystkich" — Malewska? Wiktor? Dobraczyński? Bąk? Żukrowski? I kto jeszcze? Kto jeszcze? Koniec listy. A jak jest z poezją? Maciej odważę powiedzieć, że nie stworzył Jastrun dzieła na miarę naszych pragnień i potrzeb przewrotu umysłowego w Polsce? Nie no naszej stronie jest Broniewski i Miłosz i Ważyk i Przyboś i Dąbrowski i postępowy katolik Zagórski?

Spójrzcie na 49 nr „Kuźnicy" czyż nie u nas są wszyscy prawie najmłodsi, którzy udowodnili drukiem w różnych pismach swą jakąś zdatność literacką?

Co tęższe grafomany z „Gazety Ludowej" atakują młodych lewicowych pisarzy pomawiając ich o niedołęstwo pisarskie. Ostatnio zaatakowano utalentowaną prozatorkę Jarochowską. Atak jednak przeprowadził niedołęga. Podejmuję się nawet z Marii Dąbrowskiej wybrać złośliwe i ośmieszające urywki zdań. Takich dowodów nieporadności pisarskiej każdy złośliwy partacz krytyczny może mieć ile zechce. Niedojda z „Pisma dla wszystkich" i tego nie potrafił zrobić. Jako artystycznie złe — cytował zdania po prostu politycznie trafiające w reakcję polską. Jasność myśli politycznej świadczy właśnie jak najlepiej o Jarochowskiej. I to mimowoli udowodnił partacz z „Gazety Ludowej".

Panowie z PSL z „pisma dla wszystkich" — szkoda łez — Polskę buduje i przebudowuje na nowy postępowy ład Obóz Demokracji. Literaturę polską budują jej najlepsi pisarze, którzy związali się ideowo z Obozem Demokracji.

Ideową ofenzywą lewicy, ofenzywą przewrotu umysłowego w Polsce zwycięża — bo ma realną siłę. Szkoda łez, Panowie z „Gazety Ludowej". **rdc**

Ciąża Stasia Tarkowskiego

Można zastosować i taką metodę: dyskutowania zagadnień społecznych tak jakby o nich nic jeszcze nie powiedziano w przeszłości, jakby nie były one przedmiotem gorących kampanii prowadzonych przez jednostki, lub zainteresowane grupy. Jest to równie dobra metoda retardacji postępu jak każda inna i właściwie „Dziś i jutro" okazuje i tym razem zadziwiającą konsekwencję. W nr. 47 tego pisma p. Maria Budzanowska w artykule „Kodeks o cztery artykuły za duży" domaga się „w imię humanitaryzmu" zniesienia czterech artykułów 231, 232, 233 i 234, dotyczących karalności przerywania ciąży, gdyż artykuły te wydają się jej zbyt łagodne. „Kobiety winne tego przestępstwa powinny być pociągane do odpowiedzialności za wykroczenie przeciw art. 225 (zabójstwo)".

Na nic więc kampania Boya Żeleńskiego, który przysporzył naszej publicystyce parę tomów na temat „piekła kobiet", napisanych z pasją i znawstwem lekarza, społecznika i pisarza. Tomy te przeszły do historii literatury, zagadnienia poruszyły opinię społeczną, zdobyły sobie gorącą wdzięczność kobiet i zgodę co rozsądniejszych umysłów. Tymczasem pismo katolickie raz jeszcze odgrzebuje problem jakby politykę populacyjną można było prowadzić przy pomocy kodeksu karnego.

Trudno nie wspomnieć jeszcze o gatunku tej publicystyki wstępującej w szranki przeciw Boyowi. Obok paletycznych frazesów „w szczęśliwym położeniu są kobiety, w które wpojono ideał mężnego znoszenia, czy nawet ukochania ubóstwa", figlarne przytoczenia zwrotów w stylu „miałeś trochę cykorii" czy „nie siląc się na tropienie medycznej „lipy" często nadmuchanej kłamliwą fikcją..." Zabawne, zważywszy na dość okrutny tenor artykułu.

Ale na prawdę zabawne jest dopiero zakończenie, gdzie jedyną postacią literacką, która ma wesprzeć tezę o zaostrzeniu kary za przerywanie ciąży jest.... Staś Tarkowski. „Ideał odwagi porywał już niegdyś dziecinną wyobraźnię czytelnika „W Pustyni i w Puszczy", kiedy to Staś wędrował samotnie nocą przez dżunglę, powziąwszy postanowienie: „Będę się bał, ale pójdę".

Biedny Staś! kto by przypuszczał. **jhg**

Jeszcze „świtanie"

W artykule „Zagadnienie krytyki teatralnej" zamieszczonym w nr. 11 „Twórczości" zarzuca mi p. Henryk Szletyński, że niesłusznie oskarżyłem tłumacza „Elektry" Giraudoux o przetłumaczenie słowa **l'aube** — na świtanie. „Tłumacz" pisze p. Szletyński oddał **l'aurore** przez świtanie, bo ostatnie słowo „Elektry" brzmi **l'aurore**, a nie **l'aube.**

Bardzo się ucieszyłem z tego wyjaśnienia. Słowo **l'aube** oznaczać bowiem mogłoby i świtanie, słowo **l'aurore** — nigdy. L'aurore oznacza zawsze jutrzenkę. Ale wierność leksykalna nie jest sprawą najważniejszą. W krytyce wystawienia „Elektry" szło mi przecież o rzeczy ważniejsze, o wykrzywienie ducha utworu o „umistycznienie" biednej „Elektry". „Świtanie" zamiast „jutrzenki" było tylko jednym z dowodów. I jak się okazało słusznym. **jk**

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy".
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.

CENY OGŁOSZEŃ:
Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł. 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 szpaltę.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 4. D—011177